



Duch Sarajewa krąży nad światem

W nocy 3 stycznia Amerykanie zabili w Bagdadzie irańskiego generała Kassema Sulejmaniego, dowódcę elitarnych Brygad Al-Kuds Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Zamach przeprowadzono na osobiste polecenie prezydenta USA, Donalda Trumpa.

W czwartek późnym wieczorem 2 stycznia, Amerykanie przeprowadzili atak na konwój samochodów proirańskiej irackiej milicji Ludowych Sił Mobilizacyjnych. Zniszczono całkowicie dwa pojazdy. W wyniku nalotu zginął gen. mjr Kassem Sulejmani, dowódca elitarnych Brygad Al-Kuds Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, a także Abu Mahdi al-Muhandis, zastępca dowódcy Ludowych Sił Mobilizacyjnych. Łącznie w ataku zginęło 8 osób. To gwałtowna eskalacja konfliktu irańsko-amerykańskiego. I jedno z największych politycznych morderstw XXI w.

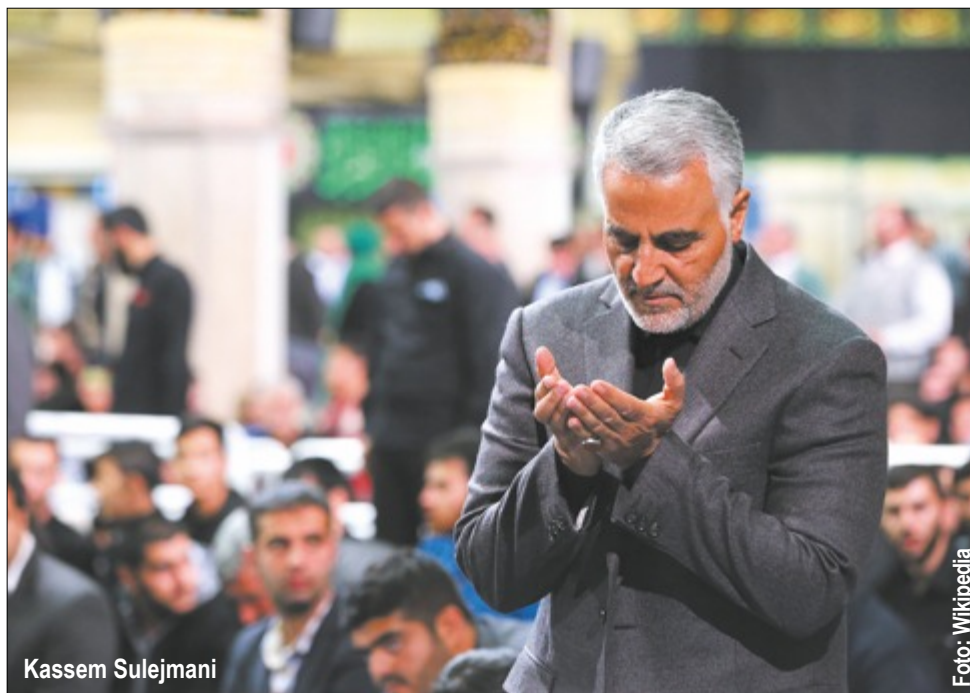
W amerykańskiej polityce zagranicznej ostatnich dekad zamordowanie Kassema Sulejmaniego może być porównywalne tylko z pojmaniem i zabiciem Saddama Husajna.

Generał Sulejmani był bardzo wpływową osobistością w Iranie, określanym wręcz mianem trzeciej osoby w państwie. Spekulowano też, że z czasem, mógłby zostać nowym najwyższym przywódcą duchowo-religijnym.

Szczególnie jeden fakt sprawia, że zamach na życie gen. Sulejmaniego staje się zupełnie niezrozumiały. Jak powiedział ambasador Iranu w Warszawie, Masud Edrisi Kermanszahi: generał Sulejmani, w latach 2014-2017 podejmował wiele wysiłków zmierzających do zapobieżenia rozprzestrzenianiu się terytoriów zajmowanych przez ISIS (Państwo Islamskie), a także zwalczał to ugrupowanie w Iraku i Syrii. Ambasador nazwał go bohaterem narodowym walk z ISIS i terroryzmem, który uratował wielu ludzi i uwolnił świat od zagrożenia związanego z tym ugrupowaniem.

Stany Zjednoczone wskazały z kolei jako kraj, który na rozkaz swojego prezydenta przeprowadził zbrodniczą akcję terrorystyczną i to w dodatku na terytorium państwa trzeciego. Ta akcja była wyraźnym pogwałceniem prawa międzynarodowego, a także deklaracji założycielskiej ONZ – ocenił Kermanszahi. – Stany Zjednoczone nie są zainteresowane pokojem, a raczej dążą do wojny – ocenił. Kermanszahi przypomniał, że w ciągu ostatnich dwóch stuleci Iran nigdy nie był agresorem, choć zawsze bronił się gdy zaszła taka potrzeba. Wyraził też nadzieję, że Stany Zjednoczone takich awanturniczych posunięć nie będą kontynuować i że inne państwa, w tym Polska, z którą Iran od ponad 500 lat ma przyjazne stosunki, nie dadzą się wmanewrować w działania antyirańskie. My zawsze radziliśmy przyjaciółom z Polski, żeby nie schodzili na dno czeluści po linie zrzuconej przez Amerykanów. Żeby Polska miała swą niezależną politykę – powiedział.

Zabicie generała Kassema Sulejmaniego przez siły USA spotkało się w Stanach Zjednoczonych z aprobatą Republikanów i krytyką ze strony Demokratów. Można odnieść wrażenie, że w amerykańskiej debacie poli-



Kassem Sulejmani

Foto: Wikipedia

tycznej nie chodzi o zabójstwo człowieka, ale o spór na temat losów jakiegoś bohatera kreskówki albo gry komputerowej. Życie ludzkie i moralność już dawno przestały być w amerykańskiej kulturze jakąkolwiek wartością. Kluczem do rozumienia świata jest podstęp, zemsta i wszystko, co powstaje na zgłiszczach moralności.

Jak podają irańskie media, miliony ludzi zebrały się w Teheranie, by opłakiwać śmierć

Sulejmaniego. Takich scen nie widziano od śmierci przywódcy rewolucyjnego Ayatollaha Ruhollaha Chomeiniego w 1989 roku.

Po zapowiedzi odwetu ze strony Iranu, Donald Trump, chyba w napadzie szału, zapowiedział, że USA ma namierzone 52 irańskie cele (reprezentują 52 amerykańskich zakładników, pojmanych przez Iran lata temu), które bardzo ważne dla Iranu i irańskiej kultury. Te cele i sam Iran ZOSTANĄ UGODZO-

NE BARDZO MOCNO I BARDZO SZYBKO. USA nie będą tolerować żadnych gróźb!

Atakowanie dziedzictwa kulturowego jest uważane za barbarzyństwo, a grupami, które stosują taką taktykę w obecnym stuleciu były Państwo Islamskie (zniszczenie starożytnych ruin miasta Palmira w Syrii w 2015 r.) czy Talibowie (zniszczenie posągów Buddy w Bamianie w 2001 r.). Oba obiekty znajdowały się na Liście Światowego Dziedzictwa

wa UNESCO. Warto dodać, że Iran ma na liście UNESCO 22 obiekty kulturalne, a lista ta obejmuje zabytki tak spektakularne jak Plac Imama w Isfahanie, ruiny starożytnego Persepolis czy pałac Golestan w Teheranie.

W komentarzach po amerykańskim zamachu na generała Kassema Sulejmaniego pojawiają się porównania do zabójstwa arcyksięcia Franciszka Ferdynanda przez serbskiego nacjonalistę Gavrilo Principa w Sarajewie, sierpniu 1914 r., co doprowadziło do wybuchu I wojny światowej. Oby nie były to trafne spostrzeżenia.

Na uroczystościach pogrzebowych córka zabitego, Zeinab Sulejman, mówiła: – Szalony Donaldzie Trump, nie sądz, że wszystko się skończyło wraz z męczeństwem mojego ojca – mówiła do tłumu.

Niedługo trzeba było czekać na spełnienie zapowiedzi. Zupełnie niesłychany i tragiczny okazał się efekt kolejnego kryzysu w Zatoce Perskiej. W środę, 8 stycznia 2020 r., Boeing 737-800 ukraińskich linii UIA, odbywający regularny rejs z Teheranu do Kijowa, rozbił się w stolicy Iranu. W katastrofie zginęło 176 osób, w tym 82 Irańczyków, 57 Kanadyjczyków, 11 Ukraińców, a także obywatele Szwecji, Afganistanu, Wielkiej Brytanii i Niemiec.

W sobotę 11 stycznia władze Iranu przyznały, że jego siły zbrojne „nieintencjonalnie” zestrzeliły ukraiński samolot pasażerski w rezultacie „ludzkiego błędu”. Wcześniej Teheran zaprzeczał, jakoby ponosił odpowiedzialność za tragedię. Prezydent Iranu Hasan Rowhani wyraził w ubolewanie: *Islamska Republika Iranu głęboko żałuje tej strasznej, niewybaczalnej pomyłki* – napisał irański prezydent. – *Moje myśli i modlitwy kieruję do wszystkich pograżonych w żalobie rodzin. Składam moje najszczerze kondolencje* – dodał.

Szef irańskiej dyplomacji złożył również wyrazy żalu i przeprosiny dla rodzin ofiar i krajów, które dotknęła ta katastrofa.

Nawet, jeśli padły wyrazy współczucia i zapewnienia o pomyłce, to przecież wiadomo, że taki fakt pociągnąć może za sobą nieobliczalne konsekwencje.

Niczego nie zmienia fakt, że podobny mógłby się wydawać przypadek zestrzelania 3 lipca 1988 r. samolotu Airbus A300B2-203 irańskich linii lotniczych AIR 655 przez amerykański krążownik USS „Vincennes” nad Cieśniną Ormuz. Wtedy również amerykański dowódca krążownika popełnił tragiczny błąd, w wyniku którego zginęło 290 osób lecących na pokładzie irańskiego samolotu. Tragiczne przykłady można mnożyć, ale za każdym z nich stoi człowiek i ofiarą zawsze też jest człowiek. U progu nowego roku miejmy nadzieję, że cień Sarajewa nie sięgnie Teheranu.

Drogi Czytelniku

W Boże Narodzenie minęło 25 lat od proklamacji Katolickiego Klubu im. św. Wojciecha Dekretem Ks. Abp. Władysława Ziółka. Nasz jubileusz spleta się ze 100-leciem diecezji łódzkiej i stanowi jej znaczący akcent. Niewiele krótszą drogę niż Katolicki Klub im. Św. Wojciecha ma za sobą katolicki miesięcznik „Aspekt Polski”.

Przetrwaliśmy ten długi czas dzięki wierności, wytrwałości i ofiarności Członków Katolickiego Klubu, redakcji „Aspektu Polskiego”. Ukazywanie się naszego miesięcznika - od samego początku przygotowywanego całkowicie społecznie - było także możliwe dzięki Waszej ofiarności oraz hojności naszych Dobrodziejów. Przetrwaliśmy ćwierć wieku, mimo iż - o czym wiedzą nieliczni - historia nasza pełna jest różnorodnych zamachów na nasze istnienie.

W ostatnim czasie spotkały nas zupełnie niespodziewane komplikacje. Dystrybucja „Aspektu Polskiego” stanęła pod dużym znakiem zapytania.

Poproś swojego Księdza Proboszcza o zgodę na dostępność w Twojej Parafii darmowego katolickiego miesięcznika „Aspekt Polski”.

REDAKCJA

MIROSŁAW ORZECOWSKI

Koncerty kolędowe

W okresie Bożonarodzeniowym odbywały się w świątyniach liczne koncerty kolędowe. Wykonawcami były zarówno wielkie zespoły, a więc chóry, śpiewające niejednokrotnie z towarzyszeniem zespołów instrumentalnych, kapel ludowych, a nawet orkiestr, jak i składy iście kameralne.

Pośród najlepszych występów na czoło wysuwa się koncert Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk im. Stanisława Hadyny w kościele pw. Najświętszego Imienia Jezus w Łodzi. Chór i orkiestra pod dyr. Krzysztofa Dziewięckiego, wraz z wyłanianymi z chóru, znakomitymi – od razu trzeba to podkreślić – a niezapowiadaniymi imiennie solistami, zaprezentowali prawie 30 kolęd, od *Przybieżeli do Betlejem* i *Lulajże Jezuniu* po *Poloneza kolędę* Hadyny. Mistrzowskie, perfekcyjne dopracowanie wszystkich utworów wzbudziło najwyższe uznanie. Zafascynowało niezwykle wyrównane brzmienie chóru, idealna intonacja, dykcja, frazowanie itd. Także charakterystyczna, „ludowa” w określonych momentach, barwa głosów altowych, nie wspominając już o wizualnej stronie występu – barwnych strojach, dyscyplinie ruchowej. Porwał, współtworzony przez wzorowo akompaniującą or-

kiestrę, ładunek ekspresji. „Śląsk”, działający od 1953 roku, jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych w kraju i za granicą marek polskiej kultury. Miło stwierdzić, że z biegiem lat nie ta marka nie traci na artystycznej randze.

Natomiast zupełnie inny, pod względem aparatu wykonawczego, koncert odbył się w kościele pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Zgierzu. Można tam było posłuchać trojga artystów: sopranistki Anny Szoszkiewicz, trębacza (grającego też na flügelhornie) Dariusza Czekalskiego oraz organisty Tomasa Mońko. Poza kolędami, w tym interesującą pod względem melodycznym i harmonicznym improwizacją Mońki na tematy kolędowe, zabrzmiały subtelnie, z dużą kulturą wokalną interpretowane, a zarazem niezawodnie podbudowane partią organową, arie z kantat Bacha (BWV 21, 147, 208). W programie



znalazły się ponadto kompozycje na trąbkę, w których również instrumentem towarzyszącym były organy. Niezwykle nastrojowe okazało się np. *Adagio z Koncertu* Albini, wiele blasku miał dynamiczny *Marsz* Clarke’a. Udanym akcentem końcowym stało się wspólne wykonanie, wraz ze słuchaczami, *Bóg się rodzi*.

Niewątpliwie kolędy wykonywane na koncertach, stanowiące w tym wypadku „repertuar do słuchania”, są pożądanym dopełnieniem zbiorowych, wspólnych śpiewów w kościołach oraz rodzinnego kolędowania w domach.

JANUSZ JANYST

Nasze kapliczki

Stuletnia kapliczka z Bełchatowa

W 100-lecie kapliczki w Bełchatowie, 125 lat parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Bełchatowie.

Kapliczka znajduje się na skrzyżowaniu ul. Lipowej, al. ks. Wyszyńskiego i al. Włókniarzy. Jest to siedmiokondygnacyjny obiekt o podstawie w kształcie kwadratu. Każde kolejne piętro, licząc od dołu, ma mniejszą powierzchnię – podstawa „zwęża się” ku górze, a jej szczyt wieńczy prosty w formie krzyż. Zarówno krzyż, jak i podstawa, i fundament zostały wykonane z tego samego surowca, którym jest zapewne piaskowiec. Miejsce lokalizacji nie jest przypadkowe – przez wiele dziesiątek lat prowadziła tędy droga na bełchatowski cmentarz rzymskokatolicki. Tego typu obiekty stanowiły niegdyś punkt graniczny

ny miejscowości, a także miejsce, do którego odprowadzano zmarłego i żegnano się z nim w ostatniej drodze, po czym kondukt żałobników udawał się na cmentarz. Jest to jeden z nielicznych na terenie Bełchatowa obiektów posiadających wyrytą inskrypcję: „Na pamiątkę XXV-letniego założenia parafii Bełchatowskiej 1893-1918”.

W 1993 r. zostały wyznaczone (w bliskim sąsiedztwie) tereny pod cmentarz rzymskokatolicki i ewangelicki.

MARIAN WÓJCIK

autor wydawnictwa „Chwalcie łąki umajone. Bełchatowskie kapliczki i krzyże przydrożne” (2016 r.).

Przysyłajcie nam zdjęcia i krótkie opisy kapliczek, przydrożnych krzyży i świątków. Będziemy je publikować, żeby uwiecznić ich obecność wśród nas: e-mail: redakcja@aspektypolski.pl lub adres: 90-955 Łódź 8, skr. poczt. 22.



Modlitwa za Papieża Franciszka

Wszechmogący, miłosierny Boże, otaczaj swoją łaską Ojca Świętego Franciszka, którego ustanowiłeś głową Kościoła Świętego. Daj mu światło Ducha Świętego, aby zawsze prowadził Twoją owczarnię drogami, które Tobie się podobają, a świętą łódź Kościoła kierował zawsze tam, gdzie Ty wskażesz. Daj mu dobre zdrowie i wytrwałość, aby w Imię Twoje rozciągał opiekę nad całym ludem Bożym prowadząc go ku jedności Kościoła Chrystusowego. Matko Kościoła, Królowo Pokoju, prosimy Cię, uproś te łaski u Syna Twego, a Pana naszego Jezusa Chrystusa, Który żyje i króluje, przez wszystkie wieki wieków. Amen.

Modlimy się wspólnie o cud i rychłą beatyfikację

Czcigodnej Sługi Bożej,

Wandy Malczewskiej

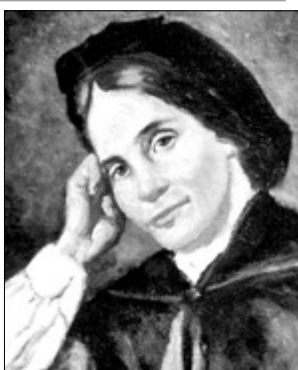
w Parafii

Najświętszego Serca Pana Jezusa

w Parznie

w niedzielę 2 lutego 2020 r.,

o godz. 16:00.



Aspekt Polski

miesięcznik Katolickiego Klubu im. Św. Wojciecha w Łodzi

adres do korespondencji: 90-955 Łódź 8, ul. Piotrkowska 17, skr. 22

Konto bankowe: BGŻ BNP Paribas Oddział w Łodzi 12 2030 0045 1110 0000 0314 4920

Asystent Kościelny: ks. Mateusz Cieplucha

Redaktor naczelny: Mirosław Orzechowski

zastępca: Iwona Klimczak

red. odpowiedzialny: Jan Waliszewski; wydanie: Aleksy Wyszowski; redakcja: Karol Badziak, prof. Jacek Bartyzel, ks. infułat Józef Fijałkowski, prof. Tadeusz Gerstenkorn, Jarosław Jagiełło, Janusz Janyst, Agnieszka Jarocka, Paweł Jaszczak, Marcin Keller, Jacek Kędziński, Bogdan Kulas, prof. Mirosław Matyja, Jerzy Nagórski, prof. Bogusław Sułkowski, Jan Szałowski, Teresa Szemerluk, Władysław Trzaska-Korowajczyk, Izabela M. Trelińska.

Druk: Polska Press Sp. z o.o., Oddział Poligrafia, Drukarnia w Łodzi

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian redakcyjnych i skrótów tekstów niezamówionych

e-mail: redakcja@aspektypolski.pl

strona internetowa: www.aspektypolski.pl



Narodowy Instytut Wolności
Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego

Sfinansowano przez Narodowy
Instytut Wolności - Centrum
Rozwoju Społeczeństwa
Obywatelskiego ze środków
Programu Fundusz Inicjatyw
Obywatelskich na lata 2014- 2020



Program
Fundusz Inicjatyw
Obywatelskich
na lata 2014-2020

FIO

Bezgotówkowa Polska

Przełom roku obfitował w tak wiele wydarzeń, że prawie umknął nam temat związany z przyszłością funkcjonowania gotówki na polskim rynku. W systemie obrotu pieniędzmi szykują się fundamentalne zmiany. Celem jest, by wszelkie płatności były realizowane wyłącznie elektronicznie, a więc poprzez karty bankomatowe, karty kredytowe lub inne systemy elektroniczne (PayPal, smartfony, chipy, karty prepaid).

Odkąd ministrem został Tadeusz Kościński, zabiegi o wyeliminowanie w Polsce gotówki z obiegu mocno przyspieszyły. W poprzednim rządzie PIS pan Kościński, będąc wiceministrem finansów, był jednym z inspiratorów powstania w 2017 r. fundacji „Polska Bezgotówkowa”. Pomysł pewnie przyszedł z Wielkiej Brytanii, gdzie pan Kościński mieszkał, kończył college w dziedzinie bankowości i nabywał stosowną praktykę. Zadaniem owej fundacji są przedsięwzięcia zmierzające do całkowitego odejścia Polski od pieniądza fizycznego na rzecz pieniądza wirtualnego.

Zamiana ta ma stanowić element programu modernizacji całej administracji państwowej, by dostosować Polskę do „wymogów współczesnej gospodarki”. Od dwóch lat realizowany jest rządowy program pod nazwą „Od papierowej Polski do cyfrowej”. Efekty są już każdemu znane. Funkcjonują e-s skierowania do lekarza, e-recepty, e-paragony. W końcu, przyjdzie czas na e-pieniądze. Dla oswojenia, pewnie dadzą nam okres przejściowy, a potem zapanuje już tylko e-papier! By nie straszyć ludzi, rząd nie ujawnia całego spektrum skutków wynikających z bezgotówkowej złotówki. Oficjalna kampania na rzecz eliminacji gotówki, prowadzona jest głównie pod sztandarem walki z szarą strefą. Mówi się wyłącznie o zaletach systemu bezgotówkowego, który ma dać wygodę i bezpieczeństwo. Wprawdzie ostrzega się ludzi, by zachowali ostrożność w sieci i przy elektronicznych transakcjach finansowych, ale mimo ostrożności ryzyko oszustwa przy elektronicznym pieniądzu jest znacznie wyższe od transakcji gotówkowej, choćby przez takie procedury jak shakowane hasła, wirusy i zjawisko phishingu sieciowego (wyludzanie danych).

Rząd chce, by jak najwięcej transakcji było objętych nadzorem elektronicznym. Dlatego najpierw wprowadzono obowiązkowe kasy fiskalne, a potem obniżano limit płatności gotówką pomiędzy firmami. By docisnąć drobnych przedsiębiorców i sprawić, by ich interesy stały się bardziej transparentne dla władzy, w 2017 r. rząd wprowadził obniżkę tego limitu z 15 tys. euro na 15 tys. zł. Teraz resort finansów chce zaostriżyć próg do 8 tys. zł. Taki zabieg ma ponoć pomóc w uszczelnianiu podatków i namierzaniu oszustów. W rzeczywistości jest inaczej. Nielegalne płatności oraz pranie brudnych pieniędzy odbywają się często przez firmy-słupy lub przez kryptowaluty, takie jak bitcoin. Tam gdzie dochodziło do największych nadużyć (mafia paliwowa, stalowa, węglowa) narzędziem oszustwa nie była gotówka czy nieformalne rozliczenia. Proce-der opierał się o faktury i przelewy.

Do realizacji ambitnego programu „Polski Bezgotówkowej” zaangażowano sztaby ludzi z wielu resortów: z ministerstwa rozwoju, cyfryzacji, finansów, infrastruktury i edukacji narodowej. Już sama mobilizacja tak wielu ministerstw świadczy o tym, że jest to poważne zadanie. Nie słychać jednak debaty na ten temat. Przeciętny Polak nie jest pytany o to, czy chciałby w przyszłości pozbyć się gotówki

i płacić tylko kartą płatniczą lub przez internet. Nie mówi mu się o zagrożeniach i o tym że może wkrótce stracić możliwość wyboru sposobu płatności. Piękny prezent dla emerytów, którzy lubią mieć przy sobie parę groszy w gotówce; choćby dla wnuków lub dla „handlar-ki” oferującej kwiaty i warzywa z własnego ogródka. Pewnie po to daje się emerytom



„13-stki”, by ciesząc się dodatkowymi pieniędzmi, nie byli zbyt dociekliwi. Gdy zniknie zwyczajny pieniądz, najbardziej ucierpią starsi ludzie z wiosek i miasteczek, gdzie internetu albo nie ma albo często „nawala”. Minister Kościński skrupulatnie realizuje plan wejścia Polski do bezgotówkowego świata nie pomijając Kościoła. Niedawno spotkał się z przewodniczącym KEP ks. abp. Stanisławem Gądeckim proponując wprowadzenie „bezgotówkowej tacy”. Jak podają media, hierarcha nie był zbyt zachwycony inicjatywą wprowadzenia we wszystkich parafiach terminali płatniczych.

Znany komentator gospodarczy Robert Gwiazdowski, mówiąc o zagrożeniach bezgotówkowego świata, twierdzi, że najbardziej poszkodowanymi mogą być nie ludzie bogaci, lecz ludzie z problemami finansowymi. Szacuje się, że w Polsce jest ich nawet kilkaset tysięcy. Jeśli są dłużnikami, na ich kontach „siedzi” bezwzględny komornik. Gdy w obiegu jest gotówka, taki nieszczęśnik ratuje się „dorabiając na boku”. Gdy gotówka zniknie z obrotu, możliwość ta też zniknie. Takiego delikwenta już nikt z bliskich nie wesprze tradycyjnymi metodami – „weź, oddasz jak będziesz miał”. Losy dłużnika będą wyłącznie w rękach bankowca, który mu nie udzieli kolejnego e-kredytu. Co wtedy się z nim stanie? Pewnie będzie się ukrywał przed kontrolą ze strony banków i instytucji państwowych skazany na śmierć społeczną i zawodową.

Eliminacja rozliczeń gotówkowych na pewno będzie korzystna dla banków gwarantując im stabilność ze strony rządów państw i instytucji ponadpaństwowych. Cokolwiek by nam nie wmawiano, nikt nie zagwarantuje ochrony naszych danych. Przykładem jest afera „Cambridge Analytic” (wyciek danych użyt-

kowników), czy najświeższy wyciek danych z ponad 267 mln kont na facebooku. Nasze konta bankowe są pod kontrolą wielkich tego świata. Dzięki umowie SWIFT, Stany Zjednoczone mają od 2010 r. dostęp do wszystkich danych bankowych UE. To właśnie w USA znajduje się centrum dowodzenia finansami świata i danymi większości ludzi. One stają się cennym towarem. Każda transakcja bezgotówkowa łączy każdy wydatek z nazwiskiem konkretnej osoby! Serwerownie koncernów i agencji rządowych zbierają poufne informacje o każdym.

Obecny poziom technologii cyfrowej pozwala, by transakcje bezgotówkowe realizowane za pośrednictwem rachunku bankowego

były w pełni monitorowane; a to oznacza możliwość permanentnej kontroli każdego mieszkańca. Już niedługo odpowiednie służby będą wszystko o nas wiedziały – co jemy i pijemy, jakie kupujemy lekarstwa, gdzie robimy zakupy, gdzie spędzamy wolny czas, czy nocujemy w hotelach, ile kosztowało wesele czy ślub. Nasze życie stanie się dla państwa transparentne. Kolejnym krokiem będzie dyscyplinowanie niesformego, w ich mniemaniu, obywatela. Staniemy się dla państwa przejrzysti, podobnie jak w Chinach; z tą różnicą, że w „państwach demokracji” przykrywką do szpiegowania jest walka z terroryzmem, a u Chińczyków ochrona państwa i ustroju. Nie tylko Polska jest poddawana bezwzględnej maszynie pieniądza i banków. Digitalizacja systemu płatności i usuwanie gotówki z obiegu mają charakter globalny. W dziedzinie transakcji bezgotówkowych prym wiodą: Szwecja, Finlandia, Irlandia, Estonia. W Szwecji płatności elektroniczne to 99 proc. transakcji.

Zbudowanie świata bez gotówki było zaplanowane wiele lat temu. W II połowie lat 80-tych, kiedy stworzono nowoczesne technologie cyfrowe, powstały narzędzia niezbędne do realizacji tego planu. W 2015 r. uczestnicy Światowego Forum Ekonomicznego w Davos stwierdzili, że sfera prywatności w nowoczesnym społeczeństwie będzie coraz bardziej ograniczana. Temat bezgotówkowego świata omawiano też podczas piątego szczytu Rządu Światowego, który odbył się w lutym 2017 r. w Dubaju. Dyskutowano tam o walutach wirtualnych i rozproszonych księgach rachunkowych w technologii blockchain – czyli zdecentralizowanej bazie danych w sieci internetowej zakodowanej algorytmami kryptograficznymi. Postanowiono wtedy, że do 2020 r. wszyscy

tkie dokumenty i transakcje będą realizowane za pomocą tej technologii. W nowym cyfrowym świecie tradycyjna waluta będzie zastępowana walutami wirtualnymi. Ucieczką mogą okazać się alternatywne waluty lokalne, które są współczesną odmianą barteru. Na świecie funkcjonuje kilka tysięcy lokalnych walut. W Polsce taką lokalną walutą, obejmującą kilka województw, jest „Zielone”.

Obyśmy się nigdy nie rozstali z gotówką. Żywa gotówka zapewnia ludziom poczucie anonimowości i prywatności wobec władzy. Daje poczucie posiadania konkretnej własności. Możemy dokonywać aktów dobroczynności bez pośredników. Gdy mamy ochotę pomóc żebrakowi czy ulicznemu grajkowi, wrzucamy mu parę groszy. Jaka to frajda poczuć się dobrodziejem! W przeciwieństwie do gotówki, wirtualny pieniądz nie ma duszy. W jego cieniu kryją się finansowi „krwiopijcy” i nowoczesne systemy technologii cyfrowej. Młodzi ludzie chętnie korzystają z najnowszych usług finansowych (fintech), ale starsi tradycyjnie nie ufają instytucjom oraz technologiom wirtualnego świata. Miejmy nadzieję, że pod wpływem mody i propagandy, nie pozbedziemy się wolności związanej z namacalną, żywą gotówką. Swoboda dysponowania pieniądzem jest przejawem osobistej wolności człowieka. Dzisiaj banki nie oferują atrakcyjnego oprocentowania wkładów, więc czemu nie stosować tradycyjnej formy oszczędzania trzymając nadwyżki pieniędzy w swoich domowych schowkach. Zwyczaj chowania pieniędzy do tzw. *skarpety* czy *pod materac* nie odszedł jeszcze do lamusa. Wg danych Narodowego Banku Polskiego w 2018 r. wartość transakcji dokonywanych gotówką wzrosła. Minister Kościński nawet wyliczył, ile pieniędzy mogą trzymać Polacy w owych skarpetach. Wyszło mu, że aż 200 mld zł. Ma więc z czym walczyć.

George Orwell w swojej słynnej książce „Rok 1984” odmalował anatomię totalitaryzmu, ukazując, w jaki sposób zaawansowana technologia może być wykorzystywana jako instrument zniewolenia człowieka. Dziś widzimy, że jego wizja realizowana jest poprzez osiągnięcia technologii cyfrowej. W 2000 r. z sieci korzystało zaledwie 360 mln ludzi, pod koniec 2019 r. – 5,1 mld. W Polsce już 10 procent transakcji w terminalach płatniczych realizowanych jest telefonami komórkowymi, aż 86 procent transakcji odbywa się kartami – zbliżeniowo. Mimo ułatwieniom w codziennym życiu, przejście do bezgotówkowego pieniądza ma bardzo groźne oblicze. Cyfryzacja umożliwia skarbówce transparentność obrotu pieniądza w gospodarce i całkowitą kontrolę nad firmami. W bezgotówkowym systemie organa państwowe będą mogły zablokować nam rachunek, czyli wyłączyć nas z życia społeczno-gospodarczego. Jakie znaczenie będą miały wtedy słowa zapisane w Konstytucji RP (rozdz. II, art. 32. pkt 2): „Nikt nie może być dyskryminowany w życiu publicznym, społecznym lub gospodarczym z jakiegokolwiek przyczyny”! „Cybernetyczne oczy i uszy” będą mogły nas śledzić, a banki będą mogły nas łupić. Świat niedalekiej przyszłości to państwo policyjne i koniec wolności osobistej związanej z pieniądzem i jego swobodnym rozporządzaniem. Wkroczymy w świat współczesnego niewolnictwa i totalnej kontroli. Już nie będą potrzebne więzienia, by zamknąć usta krytykom, bo kontrolę i sterowanie ludnością zapewni bezgotówkowy obrót płatności.

MARCIN KELLER

Podziel się swoją opinią! Czekamy na listy!
Skrytka pocztowa 22, 90-955 Łódź 8
e-mail: redakcja@aspektpolski.pl

„Poszli nasi w bój bez broni...”

Mija styczeń, w tym roku szczęśliwie wyjątkowo ciepły. Rozpoczyna się nie tylko kolejny rok kalendarzowy, jesteśmy nie tylko o rok starsi, ale znów przewracamy karty polskiego kalendarza, pełnego różnorodnych rocznic. Skoro jesteśmy u końca stycznia, to trzeba wspomnieć Postanie Styczniowe. Nie po to, aby je gloryfikować, podobnie jak Powstanie Warszawskie, ale po to, aby pamiętać i nie popełniać w przyszłości podobnych błędów.

Historia dowodzi, że Polacy są Narodem walecznym, gotowym bez wahania złożyć hojną ofiarę krwi w obronie swojej niepodległości. Niestety, często byliśmy podrywani do boju przez ludzi ogarniętych powstańczą manią, którzy nie oglądając się na przyszłość Ojczyzny, rzucali do boju, na zatracenie, najwierniejszych i najodważniejszych Rodaków.

Kiedy ogłoszono Powstanie 1863 roku, styczeń był jeszcze cieplejszy niż dzisiaj. Były to warunki szczególnie dogodne do walki partyzanckiej. Powstanie proklamowano 22 stycznia 1863 roku w Warszawie. Komitet Centralny Narodowy ogłoszonym wtedy Manifestem przekształcił się w Tymczasowy Rząd Narodowy i wezwał ...do walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa, które Ci da i przez imię Boga na Niebie przysięga, bo wie, że Ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem... Manifest znosił też pańszczyznę i przyznawał chłopom na własność uprawianą przez nich ziemię, uwłaszczając chłopów, słowami: *Ziemia, którą Lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu*

kiej, manifestowały swoją z nią solidarność, przyjaźń i gotowość okazania swej pomocy przeciw Polakom, gdyby jej potrzebowała (...) W miarę wszakże wzrostu potęgi pruskiej, a gromadzenia się trudności dla Rosji, zarówno w jej stosunkach wewnętrznych, jak w jej rywalizacji z państwami europejskimi, Prusy przybierały coraz aktywniejszą postawę w kwestii polskiej. Dużo jeszcze czasu upłynie, zanim zostanie wyjaśnione, w jakiej mierze ich dziełem było powstanie 63-go roku w Królestwie. Dziś wiadomo tylko, jaką korzyść z niego odniosły, jak na tym powstaniu wyrosła cała kariera historyczna Bismarcka, jak pomogło mu ono do związania ze swą polityką Rosji, a co za tym idzie, do załatwienia się z Austrią w r. 1866 i z Francją w latach 1870-1871.

Do walki stanęło 200 tys. żołnierzy, przez co Powstanie Styczniowe było największym polskim powstaniem narodowym. Powstańcy zaatakowali rosyjskie garnizony w Królestwie Polskim. Jednak, jak pisze wybitny polski historyk, a zarazem znawca zagadnień wojskowych, generał Kukiel, żadne większe

ław Brzóska. Bilans tego zrywu był tragiczny. Stoczono około 1200 bitew i potyczek. Jednak mimo początkowych sukcesów kampania zakończyła się klęską powstańców, z których kilkadziesiąt tysięcy zostało zabitych w walkach, a tysiąc straconych. Dziesiątki tysięcy zesłano na Sybir albo wyemigrowało. Tylko na Litwie zginęło 10 tys. polskiej szlachty, na ogólną liczbę 40 tys. walczących. Polska szlachta utraciła tysiące majątków, a po powstaniu nastąpiła rusaifikacja na niespotykaną dotąd skalę.

W przeciwieństwie do również zakończono klęską Powstania Listopadowego, w którym Polacy mieli silną, świetnie wyszkoloną i uzbrojoną armię, podczas Powstania Styczniowego nie mieli ani armii, ani kadr przygotowanych do prowadzenia wojny. Wystąpili spontanicznie przeciwko ogromnemu mocarstwu. *Obok Orła znak Pogoni, poszli nasi w bój bez broni* – śpiewano wtedy o ludziach, którzy rzucili się do nierównej walki.

Paweł Jasienica, w swoim dziele „Dwie drogi” (Warszawa, 1963) przytacza słowa powstańca Stefana Bobrowskiego, jednego z tych, którzy podjęli decyzję o jego wywołaniu. Bobrowski nie miał – jak wynika z jego przemówień – dużych złudzeń co do możliwości sukcesu, chociaż jego współtowarzysze walki łudzili się, że Europa czeka na polski czyn, i że zaraz potem temu czynowi pospieszy z pomocą. Bobrowski w oryginalny sposób uzasadniał potrzebę powstania: Wy-

Kraju Przywiślańskiego, zniesiono nie tylko nazwę Królestwa, ale i budżet. W 1868 r. wprowadzono nakaz prowadzenia ksiąg parafialnych w języku rosyjskim, w 1869 r. zlikwidowano Szkołę Główną Warszawską. W latach 1869-1870 setkom miast wspierających powstanie odebrano prawa miejskie doprowadzając je tym samym do upadku, a w 1886 zlikwidowano Bank Polski. Skasowano klasztory katolickie w Królestwie, skonfiskowano ok. 1600 majątków ziemskich i rozpoczęto intensywną rusaifikację ziem polskich.

Każda lekcja, tym bardziej bolesna lekcja historii musi, a przynajmniej powinna owocować mądrością i przezornością. Kalendarz polskich tragedii jest niestety długi i nie zamyka się na Powstaniu Styczniowym. Możemy się dzisiaj tylko zastanawiać, jak wyglądałaby Polska bez tej hojnej ofiary polskiej krwi? Czy ludzie, którzy oddali życie i utracili majątki mogliby zasłużyć się Ojczyźnie lepiej? Pośród powstańczych popiołów wzrosły też piękne kwiaty wiary. Święty Zygmunt Szczęsny Feliński Arcybiskup Warszawy, który będąc przeciwnikiem wybuchu Powstania mówił, że *patriotyzm zasadzający się na gotowości porwania się na pierwsze zawołanie do oręża, by walczyć o niepodległość Ojczyzny, jest jałowy, a czasem nawet szkodliwy...* Po nasileniu się terroru Ksiądz Arcybiskup zaborcy napisał list do cara Aleksandra II, w którym odważnie wzywał: *...uczyni z Polski naród niepodległy...; Zaklinam Waszą Cesarską Mość... aby chciała położyć koniec tej walce eksterminacyjnej, bo: ...więcej jest prawdziwej wielkości w przebaczeniu cofającym się przed rzezią niżli w zwycięstwie, wyludniającym kraj cały.*

– *Idea narodowości jest tak potężną i czyni tak wielkie postępy w Europie, że ją nic nie pokona* – pisał Romuald Traugutt generał i dyktator Powstania Styczniowego, który poświęcił swoje życie Polsce, choć również był przeciwnikiem wybuchu Powstania. Widząc jednak klęskę, postanowił oddać swoje talenty i życie polskiej sprawie, bo jak mówił, Polska istnieć będzie, bo istnienie jej dla postępu ludzkości nie tylko jest potrzebnym, ale i koniecznym. W osobie Romualda Traugutta mieści się cały ogrom ducha polskiego. Głęboko wierzący oficer armii carskiej oddał swoje talenty wojenne upadającemu powstaniu, pracując nad przekształceniem oddziałów partyzanckich w regularną armię. – *Dążnością Rządu Polskiego być powinno, jest i będzie zawsze prowadzenie ludu Polskiego drogą prawdy, drogą wskazaną przez Boskiego Nauczyciela naszego* – mówił Romuald Traugutt. Niestety, on również nie doprowadził swojego dzieła powstańczego do finału, nie zbudował jednorodnej silnej armii, nie przeprowadził uwłaszczenia chłopów. Został zdradzony przez innego powstańca, Artura Goldmana. Dyktatora Powstania stracono w Cytadeli Warszawskiej 5 sierpnia 1864 r. o 10 rano. Ostatnim gestem przed śmiercią generała Romualda Traugutta było ucałowanie krzyża. W czasie egzekucji zebrany pod murami trzydziestotysięczny tłum śpiewał hymn „Święty Boże”. Bo, jak pisał inny wybitny bojownik pióra i nauczyciel, Sługa Boży ks. Piotr Skarga: *Polska albo będzie katolicka, albo nie będzie jej wcale.*

RENATA KACZMARKIEWICZ



Stanisław Witkiewicz, *Ranny powstaniec* (1881)

lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością.

Nikt zdawał się nie zastanawiać nad rzeczywistymi przyczynami wybuchu powstania. Młode pokolenia patriotów polskich chciały się bić o wolność narodową i niezawisłe królestwo. Z perspektywy nieodległego czasu rzecz ujmując Roman Dmowski w swojej pracy z początku lat 30-tych ubiegłego wieku, zatytułowanej „Świat powojenny i Polska”. Dmowski w następujący sposób opisywał XIX-wieczną politykę Prus, prowadzoną w stosunku do Polski: *Dopóki Rosja posiadała swą ustaloną przez zwycięstwo nad Napoleonem, wielką pozycję w Europie, Prusy oddawały jej całkowity głos w kwestii pol-*

miasto nie dostało się w ręce powstania ani nie opanowano żadnej połaci kraju – pisze gen. Kukiel. – Okazała się wyraźnie bezsilność improwizowanych sił polskich z 600 strzelbami myśliwskimi, a przeważnie kosynierów, czy nawet «dragalierów» przeciw wojsku rosyjskiemu przy jego sile ogniowej, wyjąwszy wypadki zupełnego zaskoczenia. Z przeszło 160 miejscowości, w których stały wojska rosyjskie, zaatakowano zaledwie 18, staczając 33 potyczki; przeciw armii z górą stutysięcznej wystąpiło 5000–6000 walczących.

Walki trwały także na Litwie, Białorusi i Ukrainie do jesieni 1864 roku. Ostatnim oddziałem partyzanckim rozbitym w kwietniu 1865 roku na Podlasiu dowodził ks. Stanis-

wołując powstanie, do którego czynimy przygotowania, spełniamy ten obowiązek w przeświadczeniu, iż dla stłumienia naszego ruchu Rosja nie tylko kraj zniszczy, ale nawet będzie zmuszona wylać rzekę krwi polskiej; ta zaś rzeka stanie się na długie lata przeszkodą do wszelkiego kompromisu z najeźdźcami naszego kraju; nie przypuszczamy bowiem, aby nawet za pół wieku naród polski puścił tę krew w niepamięć i aby wyciągnął rękę do nieprzyjaciela, który tę rzekę wypełnił krwią polską.

Klęska wojskowa to dopiero początek strat. Po upadku powstania Korona i Litwa pogrążyły się w żałobie narodowej. W roku 1867 Królestwu Polskiemu nadano nazwę

Została garść miedziaków

Koncern KGHM to jedno z nielicznych polskich przedsiębiorstw zasilających polski budżet miliardami złotych. Należy do światowej dziesiątki największych producentów miedzi, srebra i molibdenu. Tylko dlaczego tak mało się o nim mówi? Dlaczego w Polskiej TV nie ma reportaży pokazujących pracę tego koncernu. Zrzewnością wspominamy czasy PRL, kiedy byliśmy dumni z naszego przemysłu i osiągnięć polskiej myśli technicznej. Może śmieszyły nas relacje serwowane w Polskiej Kronice Filmowej z uroczystych wydarzeń otwierania kolejnej hali produkcyjnej, ale przynajmniej coś budowaliśmy i produkowaliśmy pod polską flagą.

Teraz w większości zatrudniamy się w fabrykach zagranicznych firm, więc nie ma się czym chwalić. Skoro jednak ostał nam się koncern miedziowy, to czemu go nie pokazywać? O sukcesach Orlenu czy PGNiGE czasami coś słychać, ale o polskiej miedzi cicho sza. Może jest tam coś nie tak? Warto więc sprawdzić, kto zarządza KGHM i w jakiej kondycji znajduje się dzisiaj nasz światowy potentat miedzi i srebra.

Niespodzianka pierwsza: Wśród udziałowców KGHM znajduje się Skarb Państwa z udziałem zaledwie 31,8 proc. Potem są mniejsi udziałowcy posiadający po kilka procent udziałów. Większość z nich nie zajmuje się przemysłem, lecz reprezentuje branżę ubezpieczeniowo-finansową. Wśród nich najciekawszymi są dwaj globalni potentaci rynku funduszy inwestycyjnych – The Vanguard Group, Inc. oraz BlackRock Fund Advisors, którzy skutecznie kontrolują KGHM zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio przez firmy w których mają udziały. Kontrolują i decydują o posunięciach inwestycyjno-finansowych naszego polskiego giganta miedziowego. Wiadomo, tam gdzie jest intratny biznes, tam pojawiają się wielcy gracze; ale o nich nie powinno się głośno mówić. Koncernowi KGHM doradzali przedstawiciele i J P Morgan i firma Rothschild Polska S.A. – ta sama firma, która „doradzała” w trakcie polskiej transformacji. Efekty tej transformacji widzi chyba każdy.

Niespodzianka druga: Grupa kapitałowa KGHM, znana wcześniej pod nazwą Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi, składa się obecnie z trzech segmentów: KGHM Polska Miedź S.A., KGHM Internacional i Sierra Gorda. Macierzysta KGHM Polska Miedź S.A. działa na terenie Polski od lat 60. ubiegłego wieku. Należą do niej trzy głębiny kopalnie miedzi, dwie huty, zakłady przetwarzania rudy oraz wiele spółek towarzyszących. Zagraniczny składnik KGHM czyli KGHM Internacional powstał z przejścia przez Polskę w 2012 r. kanadyjskiej spółki górniczej Quadra FNX. Była to największa zagraniczna transakcja w historii polskich firm o wartości ponad 9 miliardów złotych. Do tej kanadyjskiej spółki należały dwa złoża położone w Kanadzie: Victoria i Afton-Ajax oraz jedno z największych na świecie złóż molibdenu na Grenlandii. Do Quadra należała też kopalnia Sierra Gorda w Chile posiadająca japońskiego współudziałowca – grupę finansowo-kapitałową Sumitomo. Robiąc biznes stulecia, czyli kupując kanadyjską spółkę Quadra FNX z jej aktywami, nabyliśmy kopalnię Sierra Gorda będącą w trakcie I etapu budowy. Trzeba było wyłożyć sporo pieniędzy, zanim kopalnia ta zaczęła cokolwiek produkować. W październiku 2014 r. nastąpiło uroczyste uruchomienie kopalni Sierra Gorda (I etap) z nadaniem jej imienia Ignacego Domeyki – polskiego emigranta, ojca górnictwa miedzi w Chile. Wartość inwestycji wyniosła 4,2 miliarda dolarów, choć

wcześniej zakładano wydatek 2,9 miliarda dolarów. Chilijska kopalnia okazała się najdroższą polską inwestycją za granicą po 1989 r. Decydując się na kupno Sierra Gorda, kierowano się wysokim poziomem zawartości molibdenu w tamtejszej rudzie miedzi oraz niskim poziomem kosztów produkcji wynikającym z faktu, że jest to kopalnia odkrywkowa. Docelowym planem było wykonanie jeszcze etapu II kopalni Sierra Gorda, który miał być finansowany z zysków działalności kopalni etapu I. Realizacja II fazy budowy kopalni Sierra Gorda była bardzo ważna, bo miała podwoić moce przerobowe produkcji miedzi całego projektu Sierra Gorda do 220 tysięcy



ton rocznie. Dla porównania, kopalnie KGHM w Polsce dostarczają rocznie około 420 tysięcy ton tego metalu. Póki co, a mamy już 2020 r, etap II kopalni Sierra Gorda nie jest realizowany. Nie ma na to pieniędzy, bo etap I nie przynosi spodziewanych przychodów. Przynosi straty.

Niespodzianka trzecia: Wchodząc na amerykański kontynent z zamiarem budowania tam kopalni miedzi, musieliśmy się zapożyczyć. Nie wszystko można było sfinansować z zysków macierzystego koncernu KGHM w Polsce. Tym bardziej, że odkąd staliśmy się posiadaczami aktywów zagranicznych, ceny miedzi i molibdenu nagle zaczęły gwałtownie spadać. Wyniki finansowe KGHM stawały się coraz gorsze. Górnictwo to biznes narażony na cykliczne wahania cen surowców i kursów akcji. Notowania cen metali ustanawia giełda w Londynie. Polacy nie przewidzieli dekonunktury. Wchodząc w 2012 r. na rynek amerykański zakładano, że cena jednej tony miedzi będzie się utrzymywać na poziomie około 7 tysięcy dolarów. Jeszcze w 2011 r. cena mie-

dzi na rynku wynosiła 9 tysięcy dolarów za tonę. W styczniu 2012 r. wynosiła 7,7 tysięcy, a potem zaczęła nagle spadać – w 2014 r. do 6,5 tysiąca, w 2015 r. – do 5,9 tysiąca, a w 2016 r. cena tony miedzi wynosiła już tylko 4,5 tysiąca dolarów. Czyli w ciągu tych paru lat notowania miedzi spadły dwukrotnie. Jeszcze gorzej było z molibdenem, którego ceny spadły z około 36 tysięcy dolarów za tonę do około 12 tysięcy. Czy kupując aktywa na kontynencie amerykańskim mogliśmy przewidzieć taki spadek cen? Na nic się zdał utworzony przez KGHM polski think tank pod nazwą „Poland Go Global!”. Rekiny światowej finansjery były lepsze; a może to zaplanowały i zmanipulowały? W 2016 r., gdy marzenia polskie związane z czerwonym metalem się nie spełniły, a wyniki finansowe Grupy kapitałowej KGHM pikowały w dół, poważnie zastanawiano się czy nie pozbyć się amerykańskiego balastu i sprzedać zagraniczne aktywa. Wtedy znowu pomógł nam zagraniczny analityk z firmy J P Morgan. Doradził, by nie sprzedawać – więc nie sprzedaliśmy. Argumentem było to, że banki zapewnią nam linie kredytowe na sfinansowanie największych in-

westycji – kopalni Sierra Gorda, Victoria i Afton-Ajax.

Niespodzianka czwarta: Pomysł zrobienia wielkiego interesu przez KGHM poprzez „wyjście na świat” i kupienie kanadyjskiej firmy miedziowej, pojawił się w 2009 r., gdy prezesem został człowiek związany z kombinatem od 1998 r. – dr hab. inż. Herbert Wirth. To wtedy zagraniczni doradcy namówili polskich biznesmenów, by rozwinąć KGHM w globalny koncern. Nowa strategia KGHM zakładała rozwój bazy zasobowej i wzrost potencjału produkcyjnego za granicą, poprzez przejście kanadyjskiej spółki Quadra FNX i wybudowanie kopalni na pustyni Sierra Gorda w Chile. Zanim jeszcze wykonaliśmy ten krok, w latach 2010-2012 polski koncern KGHM notował rekordowe wyniki. Roczny zysk netto wynosił wtedy około 11 miliardów złotych! Obecnie, roczne zyski wahają się między 1 i 2 miliarda złotych, z tym że zyski macierzystego KGHM w Polsce zżerają straty generowane przez KGHM Internacional (ok. 0,5 mld zł) i straty chilijskiej kopalni Sierra

Gorda (ok. 0,2 mld zł). Po 2016 r. ceny miedzi i molibdenu zaczęły znowu rosnąć, ale cóż z tego, kiedy zadłużyliśmy się, a dług trzeba spłacać.

Po 2012 r. wyniki KGHM spadły nie tylko z powodów spadku cen miedzi na światowym rynku, ale również z powodu nowej daniny nałożonej w kwietniu 2012 r. przez polski rząd, pod nazwą „podatek od wydobycia kopaliny”. Wprowadzono go właśnie wtedy, kiedy wykosztowaliśmy się na kupno zagranicznych aktywów. Stawka tego podatku była pod względem wysokości niespotykana na świecie i nie stanowiła kosztów uzyskania przychodów. Wskutek tego, efektywna stawka podatku wzrosła z ponad 30 proc. do blisko 90 proc. Podatek od wydobycia kopaliny praktycznie dotknął w Polsce tylko koncern KGHM stanowiąc dla niego wielkie obciążenie. Roczna danina z tytułu podatku od wydobycia kopaliny wynosi od 1,5 do 2 miliarda zł. Po przeliczeniu – każdego dnia do kasy państwa wpływa z KGHM około 4 miliony zł. Ostatnio słychać głosy ze strony zagranicznych poszukiwaczy miedzi w Polsce, żeby obniżyć wysokość tego podatku. Apele te są wypowiedziane przez przedstawicieli kanadyjskiego koncernu Lumina Group i amerykańskiego koncernu Electrum Group. W tej sprawie nawet interweniowali u premiera Mateusza Morawieckiego deputowani Kongresu USA. No, skoro inwestorzy z Kanady i ze Stanów Zjednoczonych chcą robić u nas interesy, polski rząd musi to przemyśleć, ...i się zgodzić.

Po zmianie władzy w Polsce w 2015 r., walne zgromadzenie KGHM wymieniło wszystkich członków rady nadzorczej, poza trzema osobami wybranymi przez pracowników. Do lutego 2016 r. prezesem KGHM pozostawał Herbert Wirth. Potem powołano prezesów, których zmieniano jak w kalejdoskopie, aż w końcu, od połowy 2018 r. na czele Grupy Kapitałowej KGHM stanął prezes Marcin Chłudziński – były prezes Agencji Rozwoju Przemysłu. Czy obecny prezes poradzi sobie z problemami i wyzwaniem miedziowego molocha, a w szczególności z konkurencją, która dobija się do polskiej miedzi, czyli do wydobywania rud miedzi na terenie Polski? Jeszcze w 2015 r. KGHM zaplanował na cele inwestycyjne na okres pięciu lat wydatek 27 miliardów zł. Koncern, żeby istnieć i produkować, musi ciągle inwestować. Skąd weźmiemy te pieniądze? Czy znowu się zadłużymy? W 2018 r. wydano na inwestycje 2,67 miliarda złotych. Jest wiele wątpliwości, czy zagraniczne inwestycje były trafione. Kupując w 2012 r. kanadyjską firmę, planowaliśmy czerpać korzyści z nowych aktywów. Niestety, do tej pory zamrożona jest część zagranicznych projektów: II faza budowy kopalni Sierra Gorda w Chile oraz rozpoczęcie eksploatacji złoża Ajax w Kanadzie, którą wstrzymano ze względów ekologicznych. Dziś decyzji dotyczących koncernu KGHM nie podejmuje Polska, bo nie ma większości udziałów. Decyzje te podejmują zsumowani udziałowcy, o których w zasadzie nic nie wiemy. Sukcesem miała być ekspansja naszego molocha w świecie, a wyszło jak zawsze. Dzięki krótkowzroczności polskich decydentów na szczycie władzy, niezależnie od opcji politycznej, jesteśmy stale osłabiani ekonomicznie. Przy ich współudziale, krok po kroku tracimy majątek narodowy. Koncern KGHM – to jeden z ostatnich polskich sreber rodowych, które w wyniku utraty pozycji udziałowca większościowego oraz złego zarządzania, jest w gorszej kondycji niż przed laty, zanim nie weszliśmy w drapieżny, kapitalistyczny świat.

Co nas czeka w Europie...

Co robi Wielka Brytania?

Po raz pierwszy po referendum z 2016 r. dalsze działania związane z Brexitem wydają się oczywiste i wręcz nieuniknione. Możemy być prawie pewni, że w najbliższym czasie brytyjski parlament zatwierdzi umowę z Unią Europejską, wynegocjowaną przez premiera Borisa Johnsona. Wielka Brytania wychodzi więc z Unii – to są fakty. Po wyjściu czeka Wielką Brytanię rok intensywnych negocjacji z Unią, aby ustalić przyszły modus vivendi, zanim skończy się uprzednio uzgodniony okres przejściowy. Wiele będzie zależeć w tym procesie od postawy Unii Europejskiej. Dotychczas Unia stawiała na maksymalne korzyści dla swojej strony, zachęcana słabością byłej premier T. May i ostrym podziałem w brytyjskim parlamencie. Teraz, w obliczu wyniku wyborów, Unia musi mieć świadomość, że tamta taktyka się wyczerpała i musi obrać bardziej ugodowe stanowisko. I tu jest szansa dla przyszłej polityki gospodarczej Wielkiej Brytanii.

Ale można też zadać inne pytanie – co Unia Europejska będzie wolała: dobre relacje z Wielką Brytanią... czy raczej jej słabość gospodarczą? Jeśli w okresie przejściowym nie zostanie wynegocjowany ostateczny układ, zostaną zerwane wszelkie specjalne więzi między Unią a Wielką Brytanią, a relacje przejdą na zwykłe międzynarodowe warunki. Założmy jednak, że wszystko przejdzie po myśli Borisa Johnsona. Wówczas Wielka Brytania gospodarczo będzie funkcjonować jak Szwajcaria. Dojdzie do licznych bilateralnych umów między Brytyjczykami i Unią. Będzie to kłopotliwe, długotrwałe, ale możliwe. Poza tym Wielka Brytania, podobnie jak Szwajcaria, nie będzie płatnikiem netto w ramach Unii, bo nie będzie należeć do tego ugrupowania. W tym układzie istotne jest, aby Londyn ustawił się korzystnie między tymi frontami. Z czasem również wielka finansjera światowa wróci do Londynu. Przypomnijmy, że Nowy York, Singapur i Zurych również nie należą do Unii i prosperują świetnie jako potęgi finansowo-giełdowe. Nikt w Europie nie jest zainteresowany słabością gospodarczą Wielkiej Brytanii. Dlatego dojdzie szybko do bilateralnych ukła-



Foto: AP Images/ European Union – EP

dów handlowych i celnych. I dla przypomnienia: Norwegia również znajduje się poza UE, a prosperuje bardzo dobrze. O jednym się tu zapomina – Wielka Brytania może i powinna przystąpić do Europejskiego Obszaru Gospodarczego (Do EOG należą: Norwegia, Islandia, Liechtenstein). Wówczas wzmocniłaby znacznie to ugrupowanie i zyskała korzyści w stosunkach z Unią Europejską.

Brexit to przede wszystkim sygnał dla instytucji unijnych: trzeba się skupić na odbudowaniu zaufania obywateli do projektu europejskiego – po to, aby inne państwa nie kopiowały Wielkiej Brytanii. Nie zapominać jednak, że za Brexit odpowiedzialne są przede wszystkim elity polityczne i eurosceptyczne media, które od lat prowadziły nagonkę na Unię Europejską i obarczały ją winą za niedostateczną integrację europejską. Wielu Brytyjczyków zagłosowało głównie przeciwko napływowi imigrantów, którzy rzekomo zabierają im pracę i wykorzystują nadmiernie system opieki socjalnej.

Brytyjskie referendum – nie da się ukryć – dodało optymizmu siłom eurosceptycznym w innych państwach członkowskich, które

będą wywierały presję na swoje rządy, aby te zorganizowały podobne referenda. To, czy będziemy mieli do czynienia z efektem domina, będzie w dużym stopniu zależało od przebiegu negocjacji Wielkiej Brytanii z Unią Europejską. Bruksela musi zdecydować, jak najlepiej podejść do negocjacji o wyjściu Wielkiej Brytanii z UE. Próba ulgowego potraktowania i zaoferowanie uprzywilejowanego statusu Brytyjczykom mogą spowodować, że inne państwa członkowskie będą chciały powielić ten model. Stąd już niedaleka droga do dezintegracji europejskiego ugrupowania. Z drugiej strony, jakakolwiek próba ukarania Brytyjczyków może spowodować inne siły eurosceptyczne. Brexit rodzi więc obecnie pytanie o przyszłość całego projektu europejskiego i o jego kształt. W najbliższym czasie wewnątrz instytucji unijnych może dojść (i zapewne dojdzie) do napięć; nie tylko w kontekście tego, jak podejść do negocjacji z Wielką Brytanią, ale też w jakim kierunku zmierza Unia Europejska.

Z drugiej strony, Brexit pokazał, jak ciężko jest opuścić Unię Europejską – ten proces trwa już trzy i pół roku.

A wyjście ze strefy euro? To trochę inna sprawa – mianowicie gospodarcza i monetarna. Myślę, że żadne państwo nie zdecyduje się na ten połowiczny krok, tzn. opuszczenie strefy euro i jednocześnie pozostanie w Unii. To nie miałoby przecież sensu w obecnej sytuacji międzynarodowej/unijnej.

Czy Europie grozi wojna?

Tak napiętej sytuacji na świecie nie było od wielu lat. Konflikt zbrojny według wielu ekspertów staje się coraz bardziej realnym zagrożeniem. A ostatnie napięcia między Iranem i USA tylko potęgują niepokój.

Czyli mam tu na myśli wojnę importowaną do Europy z zewnątrz poprzez np.: konflikt irańsko-amerykański-bliskowschodni.

Poza tym wielką niewiadomą jest Rosja z jej mocarstwowymi zapędami. Niepewna jest również sytuacja w Hiszpanii na linii Barcelona – Madryt, a także przyszłość Irlandii Północnej.

Musimy też przyznać, że Ukraińcy prowadzą politykę mało odpowiedzialną wobec Polski. W obliczu konfliktu zbrojnego z Rosją powinni przecież w sposób bardziej przyjazny odnosić się do Polaków. Tymczasem ich ton bardziej kojarzy się z agresją wojenną, aniżeli z chęcią procesu pokojowego.

Od wielu lat słyszymy o roszczeniach terytorialnych Ukrainy wobec Polski. Władze w Kijowie co prawda nie wystąpiły oficjalnie z roszczeniami do rządu Rzeczypospolitej Polskiej, jednakże „na własnym podwórku” robili i robią już znacznie mniej przyjazne gesty wobec Polski. Już pomijam fakt nazywania ulic i placów imieniem ludzi, którzy bestialsko mordowali całe polskie rodziny. Do tego – niestety, zdążyliśmy już nieco przywyknąć, ale nadal wygląda to jak nieudolna prowokacja. Pozostaje tylko pytanie, po co Ukraina to robi.

Czy w przypadku wojny Polska może liczyć na sojuszników z NATO?

Wcale nie jestem o tym przekonany, że w razie zagrożenia wszystkie kraje Paktu Północnoatlantyckiego posłałyby Polsce na pomoc swoje wojska. Państwa takie, jak Francja czy Włochy mają swoje interesy z Rosjanami. Ponadto drugie pod względem wielkości państwo NATO czyli Turcja jest wątpliwym sojusznikiem.

PROF. MIROSŁAW MATYJA

(tekst jest zapisem fragmentu wywiadu udzielonego dla Kuriera Polskiego w USA (wywiad przeprowadził redaktor Marek Bober).

Ku czci związkowców z Gdyni

12 października 2019 r. Związek Solidarności Polskich Kombatanów w Gdyni, ufundował tablicę pamiątkową na ul. Abrahama 23, która upamiętnia dramatyczne Dni Powstania Grudnia 1970 r. w Gdyni.

To wtedy podjęto pierwszą w całym Bloku Komunistycznym próbę powołania Wolnych, Samorządnych i Niezależnych od komunistów Związków Zawodowych. Wtedy powstał o obradował w porcie gdyńskim Komitet Założycielski złożony z delegatów z 40 dużych zakładów pracy. W nocy obradujący zostali zaatakowani przez liczne oddziały ZOMO. Byli brutalnie bici. Następnie skuto ich kajdankami i przetransportowano do więzienia w Wejherowie na dalsze tortury.

Grudzień 1970 r. był początkiem walki, która po latach zmagani doprowadziła do powstania samorządnych, niezależnych do komunistów związków zawodowych, które później przyjęły nazwę Solidarność.

Tablica przypomina również, że 30 lat temu dzięki Solidarności został obalony mur berliński.

STANISŁAW UCIŃSKI
GDYŃIA



Jak się nie zgubić w internecie?

Internet jest jak nóż czy siekiera – można się nim skaleczyć, ale można ukroić nim chleb, czy porąbać drewno – mówił dr Jan Przybył podczas grudniowego spotkania otwartego „Aspektu Polskiego”. Pytanie, kto rządzi internetem jest pytaniem podobnym do tego, do kogo należy ekonomia światowa – nie jesteśmy w stanie tego określić.

Internet jest obszarem tak skomplikowanym, że nie ma chyba nikogo, kto by miał wiedzę na ten temat jako całości. Można natomiast próbować określić, jakie grupy korzystają na tym, by wpłynąć na ludzi poprzez internet, jakie zagrożenia się wiążą z siecią i co dobrego nam daje.

Na ogół korzystamy z internetu bardzo wybiórczo: ktoś ma konto na facebooku czy innych mediach społecznościowych, wysyła i odbieramy pocztę elektroniczną, szukamy informacji, czy przeglądamy portale typu youtube, gdzie znajdujemy kolejne treści, np. muzykę, filmy. Ale to niewielki fragment internetu.

Głównym problemem w korzystaniu z internetu jest możliwość dotarcia do informacji obiektywnej, bo zaopatrywana jest ona od razu w komentarz lub zmanipulowana. Warto szukać informacji bezpośrednio na stronach źród-



łowych, a informacje w portalach typu wikipedia.

Stara definicja głosi, że prawda to zgodność osądu z rzeczywistością. Nie można się umówić, że coś jest prawdą, jeśli nią nie jest. To zakłamywanie prawdy wiąże się z cenzurą, gdy są problemy z publikacją treści lub kasowane są zasoby internetowe, bo zarządzający uznają te treści za nieprawomyślne, cenzurują sieć i decydują, jakie treści mogą pojawiać się w internecie.

W maju 2019 r. w Paryżu miało miejsce spotkanie, które zorganizowali właściciele największych mediów internetowych i przedstawicielami państw. Wydano tam dokument pod nazwą *Hate agent policy review* – to międzynarodowy dokument, którego zadaniem ma być wyrugowanie mowy nienawiści z sieci. Co to jest mowa nienawiści według tego dokumentu? Otóż jest nią to, co owi ludzie uznają za mowę nienawiści. To tak jak z antysemityzmem. Z tym związana jest procedura tzw. zgłaszania – czy donoszenia, że coś jest mową nienawiści. Jak pisze amerykański historyk i publicysta Michael Jones, siewcą nienawiści może być każdy. Często wystarczy mieć kontakt z „agentem nienawiści”. Orwell by tego nie wymyślił. Taki człowiek staje się obiektem nagonki. Łatwo go zniszczyć.

Co jeszcze rządzi w internecie, co nas otacza powszechnie? Chamstwo i prostactwo. Ci sami ludzie, którzy trapią mowę nienawiści, homofobię, antysemityzm tolerują język wulgarny, prymitywny, język z rynsztoka. Internet jest w istocie dyktando, czyli każdy pisać może.

W internecie masa ludzi naucza, wyklada, mimo że nie ma do tego najmniejszych

kwalifikacji. Powszechne jest wypowiadanie się na tematy, na które się nie ma pojęcia. A przecież dyskusja ma sens, gdy rozmawiamy z kimś, kto zna się na rzeczy.

Internet jest też przestrzenią zarabiania. Nie jesteśmy przecież naiwni, żeby wierzyć, że to wszystko jest za darmo. Wszystko dzieje się po to, żeby na tym zarobić. Wszędzie mamy reklamy, pod nimi oprogramowanie szpiegujące, widzimy, że od razu reklamy kierowane są pod nasze gusta. Jesteśmy też naszpikowani elektroniką. Przykładem może być smartfon, mamy też nowoczesne liczniki elektryczne, które można odczytywać zza drzwi. Jaką mamy pewność, że technologie te nie są wykorzystywane do szpiegowania nas? Współczesne służby wiedzą o nas tysiąc razy więcej, niż np. służby za komuny, większość tych informacji dostarczamy im sami, zamieszczając szereg informacji np. na facebooku.

Nie ulega najmniejszych wątpliwości, że rozwijamy się dzięki internetowi. Cała masa muzyki, dokumentów zawarta jest w internecie. Są tu dostępne rzeczy, do których nigdy nie byłibyśmy w stanie inaczej dotrzeć. Z internetem jest jak z nożem czy siekierą. Siekierą można narąbać drewna, nożem można ukroić chleb, ale zarówno nożem, jak i siekierą można kogoś zabić. Tak samo jest z internetem. Jest mnóstwo pożytecznych rzeczy, ale i masa głupoty.

Ogromne ilości wyświetleń pojawiają się przy niezwykle prymitywnych zachowaniach, prowokowanych przez tzw. patosteamerów. To przynosi zyski, to ma tysiące wyświetleń. Ale to my im dajemy te pieniądze. To pieniądze wprawiają to wszystko w ruch. Nie umożliwiamy więc zarabiania na nas, zwłaszcza jeśli wiemy, że wystąpią później przeciw nam, np. w postaci działań cenzorskich.

Ale korzystanie z internetu jest też pożyteczne. Może to służyć dotarciu do informacji, można tu znaleźć rzeczy, do których nie da się dotrzeć w realu. Wiele bibliotek upow-



Dr Jan Przybył

szechnia rzadkie pozycje w internecie. Internet oszczędza pracę, nie trzeba przepisywać notatek do pracy. Niestety zagrożeniem jest to, że niektórzy piszą w ten sposób prace, nawet naukowe, na zasadzie „kopiuj-wklej”.

Znajdziemy tam głupoty, ale nie można popadać w skrajność i uznawać internet za dzieło szatana. Trzeba korzystać z kilku źródeł i się nagle okaże, że dostaniemy inne spojrzenie, często zupełnie przeciwne. Są całe przestrzenie opanowane przez ludzi o lewackim światopoglądzie, są też obszary, gdzie walczy się z chrześcijaństwem, ale są też strony, gdzie w imię chrześcijaństwa mówi się rzeczy szkodliwe. Kiedyś mówiło się, że papier jest cierpliwy i przyjmie wszystko, teraz to samo można powiedzieć o internecie. Groźne jest to, że szczególnie łatwo manipulować umysłami, zwłaszcza ludzi młodych.

Św. Paweł mówi, że wszystko mi wolno, ale nie wszystko jest pożyteczne. Trzeba więc być w tym wirtualnym świecie czujnym.

Spotkanie zorganizowane było w ramach projektu „Aspekt Polski” finansowanego przez Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego ze środków programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich na lata 2014-2020.

NOTOWAŁA:
IKA

Żeglarska opowieść

Poznańskie Wydawnictwo Kontekst opublikowało książkę pt. „Z pasatem w żaglach. Przez Atlantyk do Nowego Jorku i Montrealu” autorstwa łódzkiego dziennikarza, reportera, pisarza i poety, Zdzisława Szczepaniaka.

Zdzisław Szczepaniak przez prawie całe życie zawodowe związany był z „Dziennikiem Łódzkim” (pełnił m.in. funkcję kierownika działu kultury, redaktora naczelnego). Publikował też w „Głosie Porannym”, „Odgłosach”, „Wiadomościach Dnia”, „Kalejdoskopie”, „Pulsie Biznesu”, „Kulturze i Biznesie”, „Piotrkowskiej 104”, „Tyglu Kultury”, „Kronice Miasta Łodzi”. Współpracował i współpracuje z Radiem Parada, Radiem Classic. Ma w dorobku tomy reportaży, liczne opowiadania, scenariusze filmowe (m.in. do cyklu *Wehikuł czasu*), kilka tomików poetyckich (by wspomnieć o *Podziemnych ptakach* czy *Na progu nadziei...*), książkę *Człowiek z epoki więzień* (o Aleksym Rzewskim). W roku 1980 współtworzył w Łodzi dziennikarską Solidarność, w stanie wojennym internowano

go. Nie tak dawno został m.in. laureatem Złotej Honorowej Odznaki Stowarzyszenia Księgarzy Polskich.

Z zamięłowania jest żeglarzem. Jako jachtowy sternik morski może poszczycić się przebytymi ponad 40 tysiącami mil morskich pod żaglami m.in. „Aldisa”, „Odkrywcy”, „Zawiszy Czarnego”, „Elbereth”, „Venatora”, „Pogorii”, „Stomila”. Tym razem czytelnicy otrzymali do rąk relację z odbytej przed laty (nie zdradzę ilu, bo dla lektury nie ma to znaczenia), liczącej 6 tysięcy 422 mile morskie podróży niespełna 14-metrowym jachtem „Polski Len” z Gdyni do Nowego Jorku (w ramach „Operacji Żagiel”), a następnie wewnętrznymi drogami wodnymi USA i Kanady, po pokonaniu wielu śluz, do Montrealu. Autor *Z pasatem w żaglach* płynął wów-

czas jako członek siedmioosobowej załogi.

Książka podzielona została na dwie części. Pierwsza dotyczy inaugurowanego w Plymouth rejsu atlantyckiego, z ważnymi przystankami na Maderze, a po przebyciu oceanicznych pustkowi – w porcie Hamilton na Bermudach oraz w Newport. Na Atlantyku żeglarze doświadczali zarówno wyniszczającego upału w czasie przymusowego bezruchu przy bezwietrznej pogodzie, gdy żyli jedynie nadzieją na powrót pasatu, jak i toczyli podczas sztormu walkę o przetrwanie, kiedy to potężne fale próbowały jacht zatopić. „Sztormowe” sekwencje tekstu wyjątkowo mocno pobudzają wyobraźnię w trakcie lektury.

Drugą część stanowi relacja z pobytu w USA i Kanadzie. Najwięcej uwagi poświęca autor Nowemu Jorkowi – *niezwyklemu tyglowi, w którym warzy się wszystko, co najciekawsze i najbardziej bulwersujące na świecie*. Dodać trzeba – miastu nie o każdej porze i nie w każdym miejscu bezpiecznemu dla „białasa”, szczególnie, gdy zapuści się,



choćby samochodem, w dzielnice Południowy Bronx lub Harlem.

Szczepaniak, który swój reportaż okraślił wieloma zrobionymi przez siebie zdjęciami, potrafi zainteresować czytelnika każdym fragmentem opowieści, jego narracja odznacza się ekonomią słowa, a zarazem bogactwem spostrzeżeń, nierzadko także dowcipem. Warto więc *Z pasatem w żaglach* polecić wszystkim, a więc nie tylko tym, którzy sami żeglują i sądzą, że róża wiatrów na kompasie jest najpiękniejszą różą świata.

JANUSZ JANYST

Tę walkę wygrał Kościół

Nakładem wydawnictwa Księży Młyn ukazała się monografia poświęcona budownictwu sakralnemu w diecezji łódzkiej w okresie powojennym. „Zgody nie wyrażano. Problem budownictwa sakralnego w diecezji łódzkiej w latach 1945-1989” Mateusza Opalińskiego to jedyna tak kompleksowa publikacja poświęcona bataliom o budowę nowych kościołów, czyli tak naprawdę walce komunistycznej władzy z Kościołem.

Dla tych, którzy te czasu pamiętają, a może brali udział w tych ciężkich pojedynkach, będzie to świetna podróż w przeszłość, dla młodszych – pouczająca lektura. Czasy się zmieniły, teraz problemem Kościoła staje się nie budowa nowych świątyń, ale obawa przed pustoszeniem istniejących.

Problem może wydawać się banalny, bo sprawa budowy nowego kościoła nie wydaje się z dzisiejszej perspektywy pierwszoplanowa. Należy jednak pamiętać, że okres po II wojnie światowej był czasem ogromnych przemian nie tylko politycznych, ustrojowych, ale i narodowościowych, i społecznych. Rozwijają się miasta, włączano do nich okoliczne wsie, zagospodarowywano peryferia i powstawały nowe ogromne osiedla, na ogół blokowskie, pozbawione początkowo sklepów, szkół, przychodni, punktów usługowych i oczywiście kościołów. Dość wspomnieć, że łódzki Widzew-Wschód czy Retkinia, liczące kilkanaście tysięcy mieszkańców, miały być osiedlami pozbawionymi kościołów i tylko dzięki wielkiej determinacji Kościoła i wiernych powstały tam pierwsze świątynie. Ze względu na procesy urbanistyczne, Kościołowi w szczególności sposób zależało, by kościoły powstawały właśnie w dużych ośrodkach miejskich. O ile w 1945 r. na 131 parafii diecezji łódzkiej tylko 42 znajdowały się w mias-

tach, a w 1970 r. na 147 parafii – 50. Odsetek ten zwiększył się dopiero w 1989 r., gdy blisko połowa parafii znajdowała się w miastach (96 parafii na 204 istniejące). Biorąc pod uwagę wybitnie przemysłowy charakter obszarów należących do diecezji łódzkiej, w szczególności Łodzi, nie wydaje się to dużo.

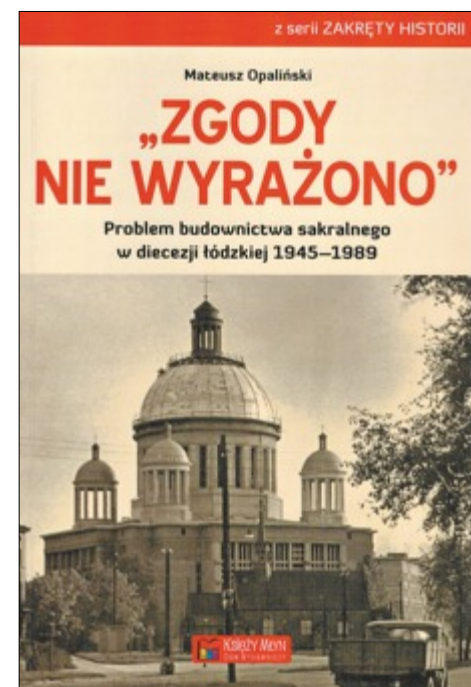
Spojrzenie na przytoczone w książce szczegółowe dane, jasno pokazuje, jak kształtowała się polityka poszczególnych ekip komunistycznych wobec Kościoła. W latach 1945-56 władze wydały zgodę na budowę 4 kościołów: Najświętszego Serca Jezusowego w Karsznicach, Matki Bożej Dobrej Rady w Zgierzu, Najświętszego Serca Jezusowego i Św. Marii Małgorzaty Alacoque oraz św. Teresy w Łodzi. Kościół przejął też 14 obiektów należących do innych wyznań. W okresie rządów Gomułki było znacznie gorzej: do 1970 r. władze wyraziły zgodę jedynie na rozbudowę kościoła Matki Boskiej Dobrej Rady w Zgierzu. Rządy Gierka to pozwolenie na budowę 8 kościołów, w tym jednego w Łodzi (Matki Boskiej Bolesnej). Poprawę sytuacji przyniosły lata 80-te, szczególnie okres „Solidarności” – wówczas Kościołowi pozwolono na budowę 54 obiektów sakralnych. Osobnym problemem związanym z budową kościołów był za to brak materiałów budowlanych. Braki wszystkich właściwie

towarów na rynku stanowiły dodatkowy kłopot. Wymagało nie lada operatywności „załatwienie” przydziału na potrzebne materiały.

Książka ma układ chronologiczny i podzielona jest na rozdziały, których zakres odpowiada zmieniającym się epokom (czytaj: liniom partii) w Polsce i zmieniającej się w związku z tym polityce wobec Kościoła.

Dwa pierwsze rozdziały są bardziej ogólne i dotyczą historii diecezji łódzkiej oraz polityki państwa komunistycznego wobec Kościoła oraz budownictwa sakralnego. To znakomity, zwięzły wykład dziejów Kościoła polskiego i łódzkiego po II wojnie światowej i opowieść o coraz gwałtowniejszym i nieuchronnym zderzeniu dwóch systemów, z których ten chcący stworzyć świat bez Boga, mimo że wyposażony we wszelkie zdawałoby się środki, był na skazanej pozycji. Autor omawia politykę poszczególnych ekip: pierwsze lata rządów Bieruta, rządy Gomułki, Gierka i okres lat 80-tych.

Niezwykle ciekawy jest też rozdział poświęcony inwigilacji środowisk katolickich zaangażowanych w budownictwo sakralne. Działania świeckich czasem wyprzedzały kroki podejmowane przez Kościół – zawiązywał się bowiem społeczny komitet, mieszkańcy osiedla zbierali podpisy za budową Kościoła, a to dawało biskupom argumenty, by starać się o pozwolenie na budowę nowego kościoła. Przyszli parafianie aktywnie brali też udział w pracach przy budowie kościoła, tu do „prac społecznych” nie trzeba było ludzi ciągnąć na siłę. Oddawali siły, czas, talent i umiejętności... Oczywiście w komunistycznym państwie takie rzeczy nie mogły się ująć uwa-
dze władz i SB aktywnie starała się te środo-



wiska inwigilować, słusznie widząc w nich zagrożenie.

Książka oparta jest na licznych i różnorodnych źródłach. Autor wykonał godną podziwu pracę z dokumentami archiwalnymi, zebrał też mnóstwo świadectw świadków tamtych wydarzeń. Wielkim walorem książki są różnorodne, szczegółowe zestawienia i wykazy, mapy oraz ilustracje, choć niestety tylko czarno-białe.

Jak pisze sam autor, książka to właściwie historia diecezji łódzkiej widziana przez aspekt budownictwa sakralnego. Jest swoistym studium działalności Kościoła rzymskokatolickiego w systemie państwa komunistycznego.

Choć czasy się zmieniły i inne są problemy Kościoła współczesnego, to książka jest znakomitym spojrzeniem na historię Kościoła polskiego. W stulecie powstania diecezji łódzkiej, które przypada w tym roku – to lektura obowiązkowa.

IWONA KLIMCZAK

Zmarł Ksiądz Biskup Stanisław Stefanek

W wieku 84 lat zmarł 17 stycznia w szpitalu w Lublinie ks. bp Stanisław Stefanek TChr, ordynariusz diecezji łomżyńskiej w latach 1996-2011, biskup pomocniczy szczecińsko-kamieński w latach 1980-1996.

Ks. bp Stanisław Stefanek urodził się 7 maja 1936 r. w Majdanie Sobieszczańskim. Święcenia kapłańskie otrzymał 28 czerwca 1959 r. w Poznaniu w Towarzystwie Chrystusowym. Sam wspominał, że powołanie do służby kapłańskiej czuł od dziecka. Już jako 13-latek wstąpił do Niższego Seminarium Duchownego Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej w Ziębicach koło Wrocławia. Mówił, że od samego początku czuł na sobie „ciężar wyboru”, ale w tym wszystkim pomagała mu gorąca modlitwa matki. Rodzice byli dla niego największym autorytetem.

Pobyt w seminarium ożywił zamiłowanie kleryka do Biblii. – *Pismo Święte stało się moim życiem* – wspominał ks. bp Stefanek. Dlatego tuż po święceniach kapłańskich ks. Stefanek rozpoczął studia w sekcji antropologii biblijnej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W 1965 r. obronił pracę magisterską pt. „Pascha w najstarszych tradycjach biblijnych”. Tytuł doktora teologii otrzymał po obronie rozprawy pt. „Mowy Balaama w reinterpretacji prorockiej”.

Biskupia droga ks. Stefanka rozpoczęła

się w Szczecinie – 4 lipca 1980 r. został mianowany biskupem pomocniczym w Szczecinie, a 24 sierpnia tego roku został konsekrowany przez biskupa szczecińsko-kamieńskiego Kazimierza Majdańskiego w katedrze szczecińskiej. 26 października 1996 r. został mianowany przez papieża Jana Pawła II biskupem łomżyńskim. Uroczysty ingres do katedry łomżyńskiej odbył 17 listopada 1996 r. Jego dewizą biskupią były słowa: *In omnibus Christus* (We wszystkim Chrystus). Po ukończeniu 75. roku życia przeszedł na emeryturę 11 listopada 2011 r.

Podczas swej posługi szczególną troską otoczył rodzinę – przez wiele lat był członkiem Papieskiej Rady ds. Rodziny, a także członkiem Rady Episkopatu Polski ds. Rodziny. Do roku 2007 r. przez dwie kadencje kierował pracami tego gremium.

Od 1972 r. był nauczycielem akademickim w ATK w Warszawie, prowadził zajęcia z zakresu teologii biblijnej, małżeństwa i rodziny. Przez ponad 30 lat związany był z Instytutem Studiów nad Rodziną w Łomiankach, w latach 1993-2010 był dyrektorem tej

placówki, która obecnie jako Wydział Nauk o Rodzinie należy do struktur Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Przewodniczący Episkopatu w liście kondolencyjnym przesłanym 17 stycznia 2020 r. na ręce ks. bp. Janusza Stepnowskiego, biskupa łomżyńskiego wyraził smutek z powodu śmierci ks. bp. Stanisława Stefanka, biskupa seniora diecezji łomżyńskiej.

W imieniu Konferencji Episkopatu Polski składam wyrazy współczucia wszystkim, którym dotknęła ta śmierć – rodzinie, znajomym, kapłanom oraz diecezjanom, którym zmarły biskup Stanisław służył najpierw jako biskup pomocniczy diecezji szczecińsko-kamieńskiej, a później jako biskup i biskup senior diecezji łomżyńskiej – czytamy w liście.

Ks. abp Gądecki nawiązał do słów zawołania biskupiego Zmarłego Biskupa *In omnibus Christus. We wszystkim Chrystus*. Podkreślił, że opisują one szczególny rys nie tylko jego pasterskiej posługi, ale całego jego życia. Wspominał tu drogę jego posługi od alumna Niższego Seminarium Duchownego Księży Chrystusowców w Ziębicach, poprzez studenta Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i doktoranta Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, wykładowcę i dyrektora Instytutu Studiów nad Rodziną aż po biskupa pomocniczego diecezji szczecińsko-



-kamieńskiej oraz biskupa i biskupa seniora diecezji łomżyńskiej.

Słowa zawołania *śp. biskupa Stanisława* charakteryzowały również styl jego służby w ramach Konferencji Episkopatu Polski jako członka, a następnie przewodniczącego Komisji ds. Rodziny, członka Komisji ds. Misji, członka Komisji ds. Zakonnych, Komisji ds. Liturgii oraz – w wymiarze Kościoła powszechnego – członka Papieskiej Rady ds. Rodziny – napisał ks. abp Gądecki.

Śp. Księdza Biskupa Stanisława Stefanka polecamy Miłosierdziu Bożemu.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie...

TERESA SZEMERLUK

Złoto, kadzidło i mirra

I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu złoto, kadzidło i mirrę (Mt 2,11). Takie to dary przynieśli Jezusowi trzej Mędrcy ze Wschodu. Maryja z Józefem mieszkali już od jakiegoś czasu w urządzonym jako tako domu, a nie w tymczasowej grocie, zaś Jezus mógł ukończyć roczek, może nawet raczkował i gaworzył, kiedy owi trzej tajemniczy przybysze z dalekiego świata weszli pod dach Świętej Rodziny. Podobne wnioski możemy wysnuć z zachowania się Heroda, który wydał rozkaz wymordowania w Betlejem i okolicy wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym się dowiedział od Mędrców (Mt 2, 16).

W świecie starożytnym przyniesione przez Mędrców podarunki miały ogromną wartość nie tylko rynkową, ale i prestiżową. Złoto zawsze uchodziło za najcenniejszy kruszec, środek wymienny w handlu, obiekt pożądania, wyznacznik zamożności. W okresie rzymskim, kiedy urodził się Jezus, od dłuższego czasu znajdowały się w obiegu złote monety, ale jako najbardziej wartościowe były raczej obiektem tezauryzacji. Trzymano je w ukryciu, często jako zabezpieczenie na wypadek losowy. Ludzie na co dzień posługiwali się monetą bitą w srebrze, brązie i w miedzi.

Kadzidło występuje pod postacią żywicy pozyskiwanej z nacinania niewysokich, karłowatych drzew kadzidlanych, *Boswellia sacra*. W podobny sposób wyciągano z balsamicznych krzewów mirrę, też w postaci żywicy – *Commiphora Myrrha* – którą przerabiano również na balsam. Obie te rośliny występują w jednym tylko rejonie na świecie, mianowicie na samym południu Półwyspu Arabskiego, tam, gdzie obecnie zbiegają się granice Jemenu i Omanu. Nieco gorszy ich gatunek spotyka się po drugiej stronie Morza Arabskiego, w dzisiejszej Somalii, częściowo w Etiopii oraz na wyspie Sokotrze. Na tych półpustynnych obszarach zaistniały warunki naturalne do wegetacji tych drzew i krzewów: znikome opady deszczu, wysoka temperatura, duże nasłonecznienie, kamienista gleba i jej odpowiednia chemia oraz pagórkowate ukształtowanie terenu. W starożytności kraj kadzidlany nazywano Arabią Szczęśliwą – *Arabia Felix*. Zapotrzebowanie na kadzidło i na mirrę było ogromne w czasach antycznych. I to najwyższego gatunku. Najcenniejsze, niekiedy cenniejsze aniżeli złoto, były grudki kadzidła mleczno-białego o aromacie cytrynowym, o bardzo przyjemnej woni. Ale i w tamtych czasach istniały podróbki, kadzidło sprowadzane z Indii, które łatwo dało się

rozpoznać i po kolorze żywicy, i po woni, jakie wydawało. Naturalnie ten gatunek żywicy był znacznie tańszy.

Egipt, Mezopotamia, Grecja i Rzym używały w dużych ilościach kadzidła i mirry. Służyły w rytuałach pogrzebowych, w Egipcie także do balsamowania zwłok. Nieodczuwane były w kulcie religijnym przy składaniu bóstwom ofiar. Odgrywały ważną rolę w rytuałach magicznych. Miały właściwości kosmetyczne w pielęgnacji ciała, dezynfekcji strojów, stosowano je do okadzania wnętrz domostw. Znajdowały zastosowanie jako środki medyczne, na przykład przy leczeniu astmy i innych dolegliwości oddechowych. W takich przypadkach stosowano inhalacje, które miały znaczenie również orzeźwiające, oczyszczające organizm, stymulujące umysł, powodujące dobre samopoczucie i wywołujące stany wesołości.

Ogromne zapotrzebowanie na kadzidło i mirrę – i to najlepszych gatunków – istniało u Żydów. Surowce te miały u nich tak istotne znaczenie w sprawowaniu kultu Bożego, iż człowiek prywatny nie mógł ich używać dla własnych celów. Kiedy w wędrówce po pustyniach Synaju Mojżesz wyznaczał swojemu ludowi ramy służby Jahwe, otrzymał od Boga następujące pouczenie: *Kadzidła w ten sposób przygotowanego nie będziecie robić dla siebie, gdyż poświęcone jest ono dla Pana. Ktokolwiek by zrobił podobne, aby się rozkoszować jego wonią, będzie wykluczony ze swego ludu* (Wj 30, 37-38). Wielką obrazą dla Żydów było to, że kiedy Grecy króla Antiocha Epifanesa weszli do Jerozolimy, ostentacyjnie spalali na ulicach i przed domami kadzidło, zapewne na złość Żydom (por. 1Mch 1,55). Poganie wiedzieli, że wedle żydowskiego Prawa kadzidło godziło się spalać wyłącznie na ołtarzu świątynnym: *Kapłan weźmie pełną garść najczystszej mąki razem*



Heinrich Hoffman (1824-1911, *Hold Mędrców*)

z oliwą i ze wszystkim kadzidłem i zamieni w dym na ołtarzu jako pamiątkę, jako ofiarę spalną, miłą woń dla Pana (Kpł 2, 2).

Brak luksusowych dóbr w Europie i istnienie na nie dużego popytu, głównie w zamożnym Imperium Rzymskim, nakreślało potrzebę ich importu z Bliskiego i Środkowego Wschodu. Łądem wykształciły się dwie główne drogi karawanowe zmierzające do portów śródziemnomorskich, skąd dalej morzem do Rzymu. Jedna wychodziła z Arabii Szczęśliwej, z Hadramaut, biegła na północ obrzeżem arabskich pustyń w sporej odległości od Morza Czerwonego, by po kilku tygodniach marszu dotrzeć do Petry, a stamtąd dalej do Gazy na palestyńskim wybrzeżu, gdzie istniał główny port przeładunkowy. Drugi szlak wyruszał z rejonu Zatoki Perskiej i ciągnął na północ doliną Eufratu, by przez obszar żyznego półksiężycy dojść do Damaszku, skąd wiódł dalej do portu w Tyrze.

Tranzyt towarów z Arabii Szczęśliwej pozostawał pod kontrolą Nabatejczyków, arabskiego ludu osiadłego na wschód od Morza Martwego, tam gdzie obecnie leży Jordania. To oni dostarczali karawanom przewodników, gwarantowali podróżnym bezpieczeństwo, budowali dla nich studnie na pustyni, zakładali karawanseraje, zaopatrywali ludzi w żywność, a zwierzęta w paszę. No i posiadali najnowsze wieści z szerokiego świata. O poziomie bogactwa, do jakiego doszli Nabatejczycy w pośrednictwie w handlu, świadczy wspaniałość i rozległość Petry oraz system pięciu miast założonych przez nich na szlaku kadzidlany, łączącym Petrę z Gazą.

U Mateusza czytamy, że Mędrcy ze Wschodu przybyli wpierw do Jerozolimy, a nie do Betlejem i tam, w Świętym Mieście, rozpytywali o miejsce narodzin Mesjasza. Wniosek stąd taki, że wyruszyli oni znad Eufratu, a nie z Arabii Szczęśliwej, bo pierwszym dużym miastem na szlaku z rejonu Zatoki Perskiej była po Damaszku właśnie Jerozolima. Tak zatem postępowali tą samą

drogą, jaką siedemnaście wieków wcześniej przemierzał Abraham po wyjściu z miasta Ur w Charanie w wędrówce *do kraju, który ci ukaże* (Rdz 12,1), by użyć słów Jahwe.

Pierwsi pisarze chrześcijańscy, jak choćby Orygenes, a po nich Ojcowie Kościoła, widzieli w darach przyniesionych przez Mędrców Niemowlęciu wielką symbolikę. Leon Wielki, papież, pouczał w homilii na święto Objawienia Pańskiego, że złoto było symbolem królewskości Chrystusa, ten kruszec bowiem zawsze kojarzył się z władzą, potęgą, bogactwem. Przynależał się on także Jezusowi jako Królowi królów, Temu, który posiadał władzę ponad wszelkim stworzeniem. Kadzidło miało symbolizować Jego boskość, bowiem dym ze spalanej na ołtarzu ofiarnym aromatycznej żywicy unosił się ku górze, ku niebu, które nawet u ludów pogańskich kojarzyło się z siedzibą bogów. Ale innych bogów nie ma, jak uświadamiał swoich współczesnych Paweł Apostoł, jest tylko jeden Bóg. Wreszcie mirrę w postaci przyrządzonego balsamu używano w obrzędach pogrzebowych. W tym przypadku mirra symbolizowała ludzką naturę Chrystusa, bowiem właśnie mirrą miało być namaszczone Jego ciało po śmierci, a przecież jako człowiek Jezus umarł.

W myśl takiej interpretacji darów niesionych przez Mędrców poszła ikonografia w Kościele wschodnim. Na ikonach o tematyce bożonarodzeniowej zawsze widzimy owych trzech przybyszów ze Wschodu niosących trzy puszki, w których należy się domyślać ich zawartości: złota, kadzidła i mirry. Zaś oni sami są symbolem pogan, którzy przychodząc z dalekich krajów pokłonili się Mesjaszowi, uświadamiając, że Jezus przyszedł na świat dla wszystkich ludzi, nie tylko dla dzieci narodu wybranego.



Opłatek

Jeszcze kilka lat temu (za czasów rządów Platformy) zachwycano się w mediach nowinkami z Zachodu związanymi ze świętami Bożego Narodzenia (różnie to święto wówczas nazywano). Teraz jakby ręką uciął. Wszyscy chwalą tradycję, świętego Mikołaja (dawniej był Dziadek Mróz), pasterkę, opłatek, składają życzenia, w których pojawia się Boża Dziecina i są nawet słowa błogosławieństwa. Czyżby „dobra zmiana”? Także pod tym względem? Chyba tak.

Proszę wybaczyć mojej związanej z wiekiem nieudolności, ale jakoś nie natrafiłem na językoznawcze wyjaśnienie, skąd się wzięło w języku polskim słowo *opłatek*. Przypuszczam, że jest ono bardzo spolszczonym łacińskim słowem *oblatus*, co znaczy *dar ofiarny*. Wskazywać może na to przypuszczenie fakt, że także język niemiecki przyjął słowo *Oblate*, czyli prawie bez zniekształcenia językowego z łaciny. Jest to tym bardziej zrozumiałe, bo w języku niemieckim *Oblate* to nie tylko opłatek, ale także hostia, co zupełnie pokrywa się z faktycznym, religijnym znaczeniem tego terminu jako daru ofiarnego w czasie mszy świętej. Co to jest *opłatek*? Proste wyjaśnienie znajdujemy w Wikipedii i za nią przytaczam wiele informacji (w Internecie jest zgoda na przetwarzanie informacji na zasadzie licencji Creative Commons).

Opłatek to bardzo cienki biały płatek chlebowy, praśny (czyli niekwaszony i niesolony), wypiekany z białej mąki i wody bez dodatku drożdży, którym dzielą się chrześcijanie zgromadzeni przy stole wigilijnym, składając sobie życzenia.

Opłatek wigilijny jest symbolem pojednania i przebaczenia, znakiem przyjaźni i miłości. Dzielenie się nim na początku wieczoru wigilijnej wyraża chęć bycia razem. Ma swoją symbolikę w wymiarze nie tylko duchowym; sama materia opłatka: *chleb* podkreśla również doczesny charakter życzeń. W podtekście tego życzenia jest nawiązanie do modlitwy *Ojciec nasz*: oby go nam nie zabrakło (*chleba naszego powszedniego...*). Symbolika chleba ma jeszcze inny wymiar: należy być dobrym jak chleb i jak chleb podzielonym (dzielącym się z innymi).

Tradycja łamania się opłatkiem ma swoje korzenie w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Nie miała początkowo związku z Bożym Narodzeniem, była symbolem komunii duchowej członków wspólnoty. Zwyczaj błogosławienia chleba nazywano *eulogiami*. Z czasem na wigilijną mszę przynoszono chleb, który błogosławiono i którym się dzielono. Zabierano go też do domów dla chorych, czy tych, którzy z różnych powodów nie byli w kościele, przesyłano krewnym i znajomym, co dzisiaj w formie lekkiego opłatka chętnie się czyni. Ja wysyłam opłatek nader często za granicę (zwykle na Zachód), gdzie ten zwyczaj łamania się opłatkiem nie jest znany. Jest to zwyczaj raczej polski, choć spotykany także na Słowacji, Litwie, Białorusi, Ukrainie, w Czechach i we Włoszech, tj. w krajach mających kontakt (zwłaszcza kiedyś) z kulturą polską. Opłatki wypiekane są zwykle przy klasztorach oraz kościołach. Używa się do tego specjalnych, metalowych form (często z różnymi obrazami przypominającymi zdarzenia biblijne), do których wlewa się ciasto.

Na początku XIX wieku popularne stały się, znane tylko w Polsce, ozdoby z opłatka, które wieszano nad stołem wigilijnym. Miały

zapewnić szczęście i powodzenie w nadchodzącym roku. Również tzw. *światy*, którymi dekorowane były zawieszane u sufitu *podłazniczki* wykonane z kolorowego ciasta opłatkowego. Oprócz białego opłatka przeznaczonego na komunikanty i do łamania się podczas wigilii wypieka się również opłatek kolorowy, przeznaczony dla zwierząt domowych i bydła. Na Śląsku znany jest tzw. *radośnik*, czyli opłatek posmarowany miodem, dawany dzieciom. Na Górnym Śląsku znane są tzw. *oblaty* (nazwa zbliżona do terminu niemieckiego, co nie dziwi, bo rejon ten był przez bardzo długi czas pod panowaniem niemieckim). *Oblaty* to rodzaj okrągłych wafli (opłatków) średnicy 10-20 cm, grubości 1-3 mm według tradycyjnej receptury o smaku słodkim lub waniliowym, współcześnie o różnych smakach. Jest to tradycyjny produkt kulinarny znany co najmniej od XIX w. na Górnym Śląsku, m.in. w Pszczynie oraz w Czechach (tam jako *łazenska oplatka*) i na Słowacji. Produkt firmy *Visa Bell* został uhonorowany nagrodą Perła 2007, przyznawaną na polnańskich targach Polagra Farma 2007 w konkursie *Nasze Dziedzictwo Kulinarne* produktem przygotowywanym według tradycyjnych receptur. 17 maja 2010 r. wpisany na listę pro-



duktów tradycyjnych przez Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

W kościołach prawosławnych i katolickich wschodnich znana jest też tzw. *prosfora*. Jest to pieczywo wytwarzane z mąki, wody, soli i zakwasu, wykorzystywane w obrzędzie przeistoczenia. Do przystępowania do Eucharystii są używane jej konsekrowane cząstki, które są zanurzane w konsekrowanym winie. Reszta zostaje rozdana wiernym po liturgii i jest spożywana przez nich na miejscu lub zanoszona domownikom, którzy nie mogli wziąć udziału w nabożeństwie. W czasie prawosławnej wigilii Bożego Narodzenia uczestnicy wieczerzy dzielą się przyniesioną z cerkwi *prosforą*, popijając ją łykiem święconej wody. Dopiero wtedy przystępuje się do jedzenia wigilijnych potraw.



Po dziś w byłej tak zwanej Galicji jest przygotowywany przez gospodynie dla niespodziewanych gości tzw. *piszinger* (*Pischinger*), tj. tort z wafli przekładanych masą czekoladowo-orzechową, oblany lukrem czekoladowym. Pomysłodawcą takiego tortu był wiedeński cukiernik Oskar Pischinger, tworzący swoje cukiernicze dzieła w drugiej połowie XIX wieku.

W potocznym znaczeniu *opłatek*, zwany inaczej spotkaniem opłatkowym jest rozumiany jako rodzaj spotkania organizowanego w różnych instytucjach, a nawet zakładach pracy w okresie adwentu lub świąt Bożego Narodzenia, połączonego z łamaniem się opłatkiem i składaniem życzeń, śpiewaniem kolęd i pastorałek. Jest to także okazja do miłej pogawędki rodzinnej lub towarzyskiej, a niekiedy nawet do sytuacyjnych, różnego rodzaju występów dzieci, znajomych, a nawet profesjonalnych artystów.

Jestem przekonany, że stanowisko zachowania tradycji jest słuszne i wpływa pozytywnie na życie każdego człowieka, także niewierzącego lub oddalonego od historycznego wydarzenia sprzed ponad 2 tysięcy lat. Nie może tego zamazać szal zakupów i akcji marketingowych lub błysk sztucznych ogni. A zatem przytoczę słowa wówczas skierowane:

Szanowni Państwo!

Pragnę jak najserdeczniej podziękować Zarządowi Stowarzyszenia Rodziców i Opiekunów Osób z zespołem Downa „Trisomia” oraz wszystkim osobom uczestniczącym w przygotowaniu spotkania bożonarodzeniowego w klubie LUTNIA. Trzeba to wyraźnie podkreślić, że zachowano polską i religijną tradycję dotyczącą Świąt i charakteru spotkania. Przyjęcie takiego charakteru uroczystości wigilijnej wymagało pewnej odwagi i okazania narodowego i religijnego charakteru tej uroczystości przez uczestników i organizatorów. Ten ukłon wobec tradycji przejawiał się w układzie dań oraz w charakterze występów dzieci, które – o dziwo! – potrafiły śpiewać wiele naszych pięknych, tradycyjnych kolęd z pominięciem obecnej mody na angielszczyznę.

Czy zachowanie tradycji ma jakiś sens i znaczenie? Przypomina mi się wydarzenie sprzed wielu już lat (chyba pod koniec lat osiemdziesiątych). Byłem wówczas pod koniec roku w Berlinie Wschodnim (NRD) i musiałem tam spędzić Świąta. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy do miejsca, gdzie wówczas przebywałem, przyjechał autem niemiecki profesor (nie znał mnie osobiście ani ja jego) z dwójką swoich dzieci i prosił mnie, bym zechciał spędzić wigilię w jego domu (dacha pod miastem w lesie), ale pouczając jego żonę Rosjankę jak ma przyrządzić i przygotować Świąta na polski sposób, ponieważ wiele słyszał o pięknie i wartości polskiej tradycji. Trzeba wziąć pod uwagę, że był to człowiek ówczesnego komunistycznego systemu, wykształcony w Moskwie oraz członek niemieckiej partii komunistycznej, która wówczas sprawowała rządy we Wschodnich Niemczech (NRD).

Okazuje się, że nawet często nie jesteśmy świadomi znaczenia naszej narodowej i religijnej tradycji oraz tego, że przenika ona nawet tam, gdzie wcale byśmy się jej nie spodziewali.

Zatem chwała tym wszystkim, którzy tę tradycję kontynuują.

PROF. TADEUSZ GERSTENKORN

Amazonka i Ren wpadają do Tybru (cz. 1)

Tytuł jest parafrazą tytułu książki ks. Ralpa M. Wiltgena o przebiegu Vaticanum II: Ren wpada do Tybru... Podobnie jak na Soborze, tak i na odbytym w październiku na Watykanie Synodzie Amazońskim (SA), dominujący wpływ na wypracowane przed nim i na nim dokumenty, mieli hierarchowie i księża z kręgu języka niemieckiego, głównie Niemcy. O ile na Vaticanum II jeszcze umiarkowany, to na SA już przeważający, co postaram się wykazać. Materiał zostanie zaprezentowany w trzech odcinkach.

Tematyka SA wywołała w świecie wielki rezonans (patrz m.in. nr 262 „Aspektu Polskiego”). Świat głośno komentował kwestie zniesienia celibatu księży i dopuszczenia kobiet do święceń (diakonatu). W cieniu zaś pozostawały kwestie o większym jeszcze potencjale destrukcyjnym dla wiary katolickiej. Tutaj zajmę się bardziej genezą zwołania Synodu Amazońskiego, jego *spiritus movens* i nie w pełni uświadomianym znaczeniem. Pierwsza część opisuje rewolucję w Kościele niemieckim i jej związek z tematyką Synodu Amazońskiego; druga zawiera analizę treści dokumentu przygotowawczego; ostatnia opisuje przebieg i dokument końcowy, by móc ocenić, w jakiej mierze biskupi synodalni podzielili opinie autorów. Pominięte są krytyczne uwagi na temat SA wybitnych przedstawicieli Kościoła, takich jak ks. kard. Gerhard Müller, ks. kard. Raymond Leo Burke, ks. kard. Walter Brandmüller, ks. abp Athanasius Schneider, a także wielu wybitnych znawców i przyjaciół Kościoła, z najbardziej uznanym prof. Roberto de Mattei. Zainteresowani znajdą je bez trudu.

Niemiecka rewolucja

W Kościele niemieckim od dłuższego czasu nasila się proces odchodzenia od powszechności i jedności Kościoła katolickiego, takiego jaki ustanowił Jezus Chrystus i ukształtowany został przez Tradycję i Urząd Nauczycielski. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec ks. kard. Reinhard Marx, arcybiskup metropolita Monachium, ujął tę nową rzeczywistość bezceremonialnie mówiąc, że „Kościół niemiecki nie jest filią Rzymu”. Nie była to li tylko figura retoryczna, to raczej codzienna tamtejsza praktyka. Pytając, dlaczego dotyczy to akurat tego Kościoła partykularnego, należałoby wrócić aż do czasów Marcina Lutra, który dokonał tak skutecznej schizmy głównie dzięki żywemu w Niemczech duchowi buntu wobec władzy papieskiej. Zostawmy na inną okazję tak odległe czasy i wróćmy do XX w., podkreślając jednak, że duch protestu Lutra wciąż ciąży nad niemieckim katolicyzmem. Bez tego nie sposób zrozumieć, co działo się na Soborze Amazońskim. Drugi klucz interpretacyjny podpowiada ks. prof. Andrzej Kobylński, filozof z UKSW, zwracając uwagę na dominującą w niemieckiej etyce moralnej spuściznę XVIII-wiecznego filozofa oświecenia Immanuela Kanta, z jego kategorią **autonomii moralnej jednostki**. Zgodnie z nią każdy z nas jest dla siebie własnym autorytetem moralnym, co oznacza, że autorytet zewnętrzny – nawet Boskiego pochodzenia – nie może stanowić kryterium moralności.

Wiele w tej mierze wyjaśnia Paweł Chmielewski w książce „Niemiecka rewolucja” z dramatycznym podtytułem „Jak za Odrą ginie katolicka wiara” (Biblioteka Polonia Christiana, 2019). Plan działania nie jest nowy, został opracowany niemal 50 lat temu na Synodzie Würzburskim. Wtedy jednak Rzym go zablokował. Kościół w Niemczech powrócił do niego w 2010 r. Przez pięć lat niemieccy biskupi i świeccy debatowali, również w Würzburgu,

o reformach, jakie w ich ocenie należy przeprowadzić celem zażegnania kryzysu nadużyć seksualnych. Jego uczestnicy uznali, że trzeba zorganizować niemiecki synod, który w założeniu w pełni wprowadzi Kościół we współczesność. Wzięli do siebie apel ks. kard. Carlo Maria Martiniego, jednego z głównych współpracowników papieża, aby Kościół szybko nadrobił dwustuletnie zapóźnienie względem świata. Temu ma służyć tzw. Droga Synodalna, organizowana wspólnie, z zachowaniem parytetu kapłanów i świeckich, przez Konferencję Episkopatu Niemiec i Centralny Komitet Niemieckich Katolików. Rozpoczęła się



1 grudnia 2019 r. i ma trwać dwa lata. Przyjęto radykalne założenia: 1) rewizja rozumienia władzy w Kościele, która ma skutkować oddaniem części kompetencji przynależnych dotąd biskupom w ręce świeckich; 2) zmiany w celibacie w postaci dopuszczenia żonatych mężczyzn (*virii probati*) do święceń kapłańskich; 3) nowe rozumienie roli kobiet w Kościele, zwłaszcza przez przekazanie im części władzy administracyjnej, ale także ewentualne dopuszczenie do diakonatu, a jeżeli to byłoby niemożliwe, wprowadzenie nowych rodzajów posługi bez święceń (kobiety miałyby głosić kazania, chrzcić, przewodniczyć pogrzebom itp.). Twierdzi się, że odmawianie kobietom święceń jest pozbawione uzasadnienia teologicznego; 4) odejście od nauczania moralnego Kościoła w dziedzinie seksualności poprzez nowe odczytanie Pisma Świętego i etyki seksualnej w duchu współczesnej „nauki” (ideologii gender), zwłaszcza w odniesieniu do antykoncepcji i homoseksualizmu. Miało to być dyskusją o rodzinie i małżeństwie. Postawiono sprawę rozwodników w nowych związkach, apelując o „pójście naprzód” w sensie dopuszczenia ich do Komunii świętej.

Wszystko to miało odbyć się w ramach procesu decentralizacji Kościoła, zapowiedzianego już na początku pontyfikatu przez papieża Franciszka. Wszystkie te postulaty były wcześniej postawione na wspomnianym

Synodzie Würzburskim obradującym w latach 1971-1975. Zgromadzeni mieli wprowadzić na nim zastanawiać się nad tym, jak w życie wprowadzić nauczanie Vaticanum II, ale szybko okazało się, że nie idzie o dokumenty soborowe, ale raczej o tzw. „ducha” soboru, to znaczy o te postulaty, których progresistom nie udało się przepchnąć lub które zostały w mało dla nich satysfakcjonujący sposób okrojone.

Pontyfikaty Jana Pawła II i Benedykta XVI pogrzebały na długie lata nadzieje uczestników tamtego synodu. Teraz nadszedł właściwy czas. Zgodnie z eklezjologią głoszoną przez niemieckiego ks. kard. Waltera Kaspera należy inaczej postrzegać relacje między Kościołem powszechnym a Kościołami lokalnymi, stawiając akcent nie tyle na pierwszeństwo tego pierwszego, co raczej na równość wszystkich. Ogłoszona w 2016 r. adhortacja apostolska *Amoris laetitia* zawierała dwuznaczne passusy, które pozwoliły progresywnym episkopatowi dokonać wielkich zmian w swoich krajach. Niemcy niemal natychmiast dopuścili do

się przed nimi drzwi do dokonania zerwania z Magisterium przy zachowaniu formalnej więzi z Watykanem. Paweł VI, Jan Paweł II i Benedykt XVI wiedzieli, że nie mogą pozwolić na to, by część Kościoła dokonywała takiego spustoszenia, jednocześnie głosząc wierność wobec następcy Piotra. Dziś wydaje się, że jest wolna droga dla eksperymentów z prawdami wiary.

Dokument roboczy – Instrumentum Laboris (IL).

Wnikliwą analizę tych nowych elementów, jeszcze ważniejszych z punktu widzenia ortodoksji przeprowadził prof. Jose Antonio Ureta, chilijski historyk, współpracujący z Towarzystwem Tradycja, Rodzina i Własność (TFP), założonym w 1960 r. w Brazylii przez prof. Plinio Correa de Oliveira. Mówił o tym na wykładach i wywiadach, które odbyły się niedawno w Polsce. Przedmiotem jego zainteresowania był opublikowany w czerwcu 2019 r. dokument roboczy, nad którym obradował Synod. Wytyczne do niego niejednego katolika mogą przypisać o dreszcz przerażenia, zwłaszcza w odniesieniu do tezy, że Synod Amazoński wprowadza Kościół katolicki na drogę od chrześcijaństwa do pogaństwa. Prześledźmy jego argumenty. Ureta wyróżnił aspekty zmian proponowanych przez SA:

- doktrynalny: pod płaszczykiem teologii indiańskiej wprowadzenie pochodnej teologii wyzwolenia,
- instytucjonalny: podważenie kapłańskiego i hierarchicznego charakteru Kościoła oraz celibatu,
- liturgiczny: próba wprowadzenia szamańskich rytuałów w ceremoniach,
- strukturalny: zaprzeczenie jedności Kościoła i stworzenie autochtonicznych gett religijnych, Kościołów tubylczych, gett kulturalnych,
- fundamentalny: zarzucenie ewangelizacji, czyli katolicyzacji, a w jej miejsce wprowadzenie dialogu międzykulturowego w imię panteistycznej ekologii i plemiennego kolektywizmu.

Teologia indiańska – panteizm

Instrumentum Laboris nakazuje [98] nauczanie rdzennej pan-amazońskiej teologii indiańskiej (mitów, celebracji, rytuałów) we wszystkich kościelnych instytucjach edukacyjnych. Teologia indiańska poszukuje ożywienia myśli religijnej ludów tubylczych zanim jeszcze zetkną się z chrześcijaństwem. To efekt metamorfozy marksistowskiej teologii wyzwolenia, która była wyrazem walki biednych z bogatymi, ale po upadku Sowietów oraz jej potępieniu przez Watykan, przeszła metamorfozę ku walce rozmaitych mniejszości z opresyjną większością. „Mniejszość” Indian jest jedną z nich. To rewolta ludów tubylczych przeciwko europejskiemu kolonializmowi. Ostrzegał przed nią o. Joseph Goetz: „To co w Starym Testamencie odnosi się do religijnych tradycji ludów Amazonii jest dokładnie tym, przeciwko czemu Stary Testament walczył z profetyczną gwałtownością. Bóg jest Stwórcą wszystkiego i musi mieć absolutnie powszechną suwerenność ponad wszelkimi mocami, być Panem. Teologia indiańska przeciwnie – uczy, że należy wyciszyć Boga Biblii w imię międzykulturowego dialogu”. O. Eleazar Lopez dodaje: „Większość z dzisiejszych mitów tubylczych ma pochodzenie nomadyczne. W schemacie religijnym i teologicznym nomadyzmu Bóg jest „pierwotną energią życia”, a góry, rzeki, jaskinie, drzewa są naszym innym jak członkami jego ciała” – to przecież czysty panteizm.

koniec części pierwszej

JERZY NAGÓRSKI

Komunii świętej rozwodników w nowych związkach, realizując pierwszy z postulatów Synodu Würzburskiego. Powołując się na ten sam dokument i otrzymując oficjalną zgodę papieża dopuścili do Komunii także niektórych protestantów. To miałyby dotyczyć tylko ich kraju, ale pamiętajmy, że analogiczna zgoda Pawła VI na udzielenie Niemcom komunii na rękę stała się rzeczywistością w Kościołach zachodnich. Już w pierwszych dniach obrad Drogi Synodalnej biskupi, seksuolodzy, prawnicy kościelni oraz teolodzy dogmatyczni i moralni orzekli, że homoseksualizm to „normalna forma predyspozycji seksualnej”, a w związku z tym zakaz praktykowania czynów homoseksualnych przez Kościół wydaje się coraz bardziej kontrowersyjny, a także, że utrzymywanie relacji seksualnych przez osoby rozwiedzione w nowych związkach nie może być już dłużej traktowane jako grzech ciężki, dlatego nie mogą być one wykluczane z sakramentu Eucharystii.

Łatwiej teraz będzie śledzić wpływy niemieckie na Soborze Amazońskim, zwłaszcza w kontekście intrygującego hasła Synodu: „Amazonia – nowe drogi dla Kościoła i ekologii integralnej”.

Synod Amazoński zajął się również innymi tematami. Niemcy mają nadzieję, że dzięki *Amoris laetitia*, Synodowi Amazońskiemu i nowej konstytucji o Kurii Rzymskiej otworzą

W Teklinie (cz. 1)

Praca nagrodzona w konkursie redakcji „Aspektu Polskiego” pt. *Podziel się swoją historią.*

Marysia nie mogła zasnąć. W małym pokoju, w którym spała razem z mamą, Zosią, Tereską, Andrzejkiem i Józkiem oraz Marynką, było ciasno i duszno. Sierpniowa noc nie przynosiła ulgi, oblepiała tylko potem i strachem całe ciało dziewczyny. Łóżko, siennik, koc, koszula – wszystko zwilgotniało, przeszkadzało, drażniło. Marysia wsłuchiwała się w niespokojne oddechy braci i siostr. Andrzejek, dwulatek z jasną czupryną, spał mocno. Jego oddech wydawał się Marysi dobry i silny. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie jego niewinnej buzi i tych wiecznie pytających oczu, ciekawych wszystkiego. „Śpij mały, niech ci się śnią anioły” – powiedziała cicho w stronę braciszka. Gdzieś w zakamarkach ściany harcowały myszy. Tak jak i ludzie, szukały pożywienia. Marysia nasłuchiwała desperacko mysich odgłosów. Ich się nie bała. Bała się tego, co słyhać było z oddali, od strony Warszawy. Bała się tego, co działo się za Wisłą. Ludzie w szpitalu opowiadali straszne rzeczy.

Marysia szybko potrząsnęła głową. Nie chciała tych myśli. Pragnęła je odgonić jak czarne ptaszyska, jak bezdomne koty ocierające się o nogi. „Pomyśl o czymś przyjemnym” – nakazała sobie surowo. Była osobą, która zazwyczaj potrafiła postawić na swoim. Młodsze rodzeństwo czuło przed nią respekt, dzieciaki z podwórka też. Nie będzie się przecież rozczulać teraz nad sobą i bać. Przed wyjazdem tata powiedział jej i Józce, że teraz oni są najstarsi i muszą opiekować się mamą i młodszym rodzeństwem.

– Ale ja chcę z tatą! Chcę walczyć jak Rydek i Felek! – awanturował się wtedy Józek, którego osiemnastoletnia duma i godność zostały wystawione na wielką próbę – nie zostanę z kobietami! Nie jestem już dzieckiem, tato!

– Józefie – tata zwrócił się do chłopca, a Marysia poczuła, że jest w tym zwrocie coś, czego dotąd nie było w ojcowskich słowach; coś, od czego robi się nagle uroczyste i poważnie i trochę strasznie; coś, co za chwilę zmieni wszystko już na zawsze. Dziewczyna zadrżała z oczekiwania na jakąś ostateczność, której nie potrafiła wyrazić.

– Józefie – powiedział znowu tata i spojrział gdzieś daleko ponad ich głowami – tak, już od dawna nie jesteś dzieckiem. Jesteś mężczyzną i teraz jak mężczyznę proszę cię, nie, błagam cię, byś zaopiekował się naszą rodziną podczas mojej nieobecności. Czy jesteś na to gotowy? Józefie?

Józef stał, z zaczerwienionymi policzkami, z kipiącym jeszcze wewnątrz gniewem, z niezgodą, z poczuciem wielkiej niesprawiedliwości w swoim przedwcześnie dojrzałym sercu. Nie, wcale nie był na to gotowy. Wcale, ale to wcale nie chciał opiekować się rodziną, podczas gdy tata i jego starsi bracia będą walczyć z Niemcami razem ze swoimi oddziałami. Czuł, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia; że prośba ojca jest ważna, bardzo ważna i że nie może mu odmówić, nie po tym, co przeszli, co widzieli, co przeżyli razem jako rodzina... Czuł, że ojciec potrzebuje jego zgody, jego zapewnienia, jego świadomej decyzji, a jednocześnie coś w nim wyrывało się tam, do oddziału, do Felka i Rydka, niewiele przecież od niego starszych, a już żołnierzy. Józek drżał. Marysia pomyślała, że brat za

chwilę się rozplacze i wtedy tata zobaczy, że Józek wcale nie jest jeszcze dorosły.

– Zaopiekujemy się mamą, tato – powiedziała szybko, żeby tylko wyrzucić z siebie te słowa; żeby tylko tata zobaczył, że może na nich liczyć; że teraz oni są najstarsi i dadzą radę – niech tata będzie spokojny.

Ojciec popatrzył wtedy na nią i Marysia wydawało się, że dostrzegła w jego oczach wdzięczność.

– Tak, tato, zaopiekujemy się mamą, dziewczynkami i Andrzejkiem – Józek stał wyprostowany naprzeciw ojca. Nie dorównywał mu jeszcze wzrostem ani posturą, ale było w jego postawie coś, co wyraźnie ucieszyło ojca. Ojciec jakby zrzucił z ramion balast, który go przygniatał. Później, wiele lat później dopiero Marysia zrozumiała, jak trudno, jak szalenie ciężko musiało być ojcu w tej chwili. Zrozumiała, że było to po prostu pożegnanie, ojcowski testament. Ojciec wybrał Józka i ją, swoje najtrudniejsze dzieci, z którymi ciągle miał tyle kłopotów, wybrał ich na opiekunów rodziny, bo w głębi duszy wiedział, że to oni właśnie będą zwycięzcami. Ale wtedy, w tej chwili, w Warszawie, w ich ślicznym mieszkaniu na Natolińskiej, Marysia czuła tylko, że dokonuje się coś przełomowego, ważnego, choć nie potrafiła tego nazwać. Pamięta, że mama i Marynka, ich gosposia, biegały nerwowo, próbując zapakować do kufrów to, co może się przydać.

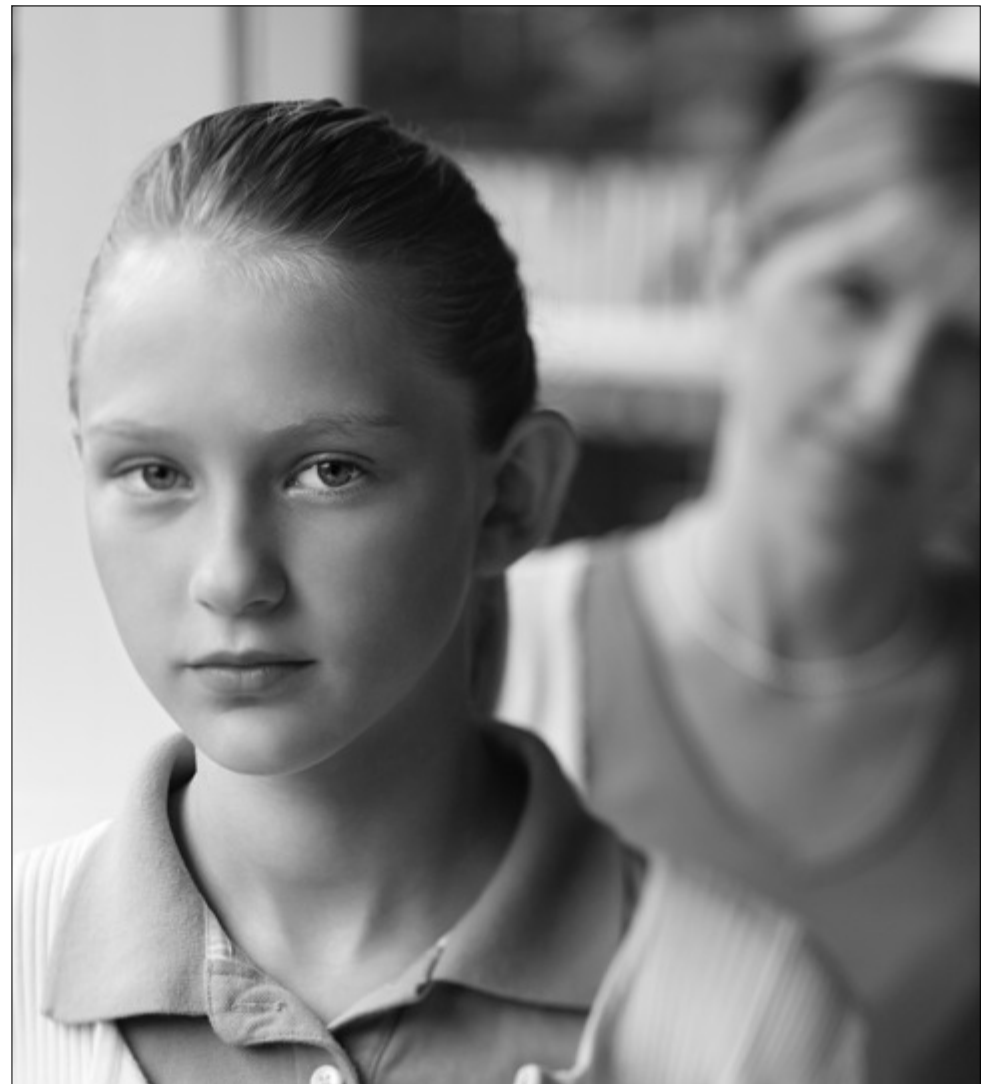
– To tylko na parę tygodni – pocieszały się nawzajem, ocierając fartuchami łzy.

Na początku czerwca tata, furmanką, odwiózł ich do Teklina. Zamieszkali wszyscy w chałupie, w której były dwie izby. W jednej mieszkali gospodarze z pięciorgiem swoich dzieci. Drugą zajęli oni.

Marysia wracała często myślami do tych chwil, do rozmowy z ojcem, wyjazdu. Od tego momentu życie stało się jeszcze bardziej ciężkie niż tam w Warszawie. Uśmiechnęła się na wspomnienie okropnego jadła – tak wszyscy nazywali kluski z rozgotowaną dynią, które ciągle jedli na Natolińskiej. Krzywili się i parskali, a Józek robił komiczno-tragiczne miny nad talerzem, ale przecież jedli. Marysia poczuła, jak bardzo jest głodna. Odałaby wszystko za miskę rozgotowanej dyni. Ścisnęła rękami brzuch i zamknęła oczy, żeby odgonić łzy, które napływały jej do oczu.

Ostatnio żywiła się tym, co znaleźli z Józkiem w lesie albo na polach. Czasem udało się im zerwać trochę pokrzyw, z których Marynka parzyła herbatę, albo wykopywali z pola zapomniane przez wszystkich, niezauważone resztki ziemniaków, nadgniłe bulwy. Szybko jednak musieli zrezygnować z tych poszukiwań, bo pola były zaminowane. Marynka udawało się jakoś wynajdować mleko. Płaciła za nie babom we wsi perłami z maminiego naszyjnika.

Odgłosy wystrzałów przerwały Marysi rozmyślanie. W dzień łatwo było ignorować dźwięki wojny. Zagłuszało się je rozmowami, dziecięcymi głosikami, piosenkami, modlitwami. Poza tym każdy próbował coś robić. Ludzie intuicyjnie czuli, że bezczynność zabija tak samo szybko jak wojna. Marynka dokonywała cudów, żeby zorganizować coś do jedzenia lub picia. Panowała między gosposią a starszymi dziećmi niepisana zgoda, że najważniejsza jest mama i Andrzejek. Mama,



bo była w ciąży z ósmym dzieckiem, i Andrzejek, bo był malutki, nic jeszcze nie rozumiał. Tak więc przede wszystkim trzeba było wykarmić mamą i małego, potem dziewczynki, Tereskę i Zosię, Marynkę i na końcu najstarszych, Marysię i Józka. W końcu ustaliła się zasada, że Marysia i Józek nie jedli w domu. Józek oczywiście kłamał, że dostał gdzieś coś do jedzenia i wcale nie jest już głodny. Marysi udawało się czasem dostać kawałek chleba w szpitalu, w którym pomagała jako sanitariuszka. Ale zdarzało się to rzadko, bo jedzenia przecież brakowało nawet dla rannych.

Mama codziennie uczyła Tereskę i Zosię, głównie katechizmu, rachunków, historii i francuskich słówek. Mama była dobrze wykształcona. Jeszcze przed ślubem skończyła świetną szkołę dla panien z dobrych domów, w Snopkowie niedaleko Lwowa. Marysia zawsze lubiła słuchać opowieści mamy o tym, jak się uczyła, jakie miała przyjaciółki, nauczycieli, jak spędzała czas wolny od zajęć. Była w tych opowieściach jakaś magia, która pociągała Marysię i budziła w niej tęsknotę. Marysia była bardzo żywą osobą. Nigdy nie potrafiła usiedzieć w miejscu dłużej niż kilka minut. Wciąż musiała gdzieś biec, wspinać się, coś robić, o czymś myśleć, działać. To dlatego szczerze nienawidziła szkół. W swoim szesnastoletnim życiu zdążyła już być wyrzucaną z kilku. W żadnej nie mogła znaleźć swojego miejsca, przyjaciół. W każdej narażała się wszystkim nauczycielom od samego początku. Tak, szkoła dla Marysi była katorgą. Z tego to właśnie powodu z ulgą przyjęła wiadomość, że w Teklinie nie będzie chodzić do szkoły, tylko powinna znaleźć jakąś pracę. Znalazła oczywiście. W szpitalu.

Po wybuchu powstania do Otwocka zaczęli docierać pierwsi ranni, którym cudem udało się przepląnąć Wisłę. W Szarych Szeregach Marysia ukończyła kurs medyczny z bardzo dobrym wynikiem. Najbardziej lubiła opatrywać rany i bandażować. Zupełnie przypadkiem znalazła się któregoś dnia w Otwocku na ulicy Emilii Plater tuż obok Szpitala Powiatowego. Wszędzie wisiały tablicz-

ki z napisem „Uwaga! Tyfus!”. Jakaś kobieta w białym, przybrudzonej fartuchu wybiegła z budynku i rozglądała się nerwowo. Zobaczywszy Marysię, zaczęła machać na nią energicznie. Marysia stała, nie wiedząc, co zrobić. Kobieta wyraźnie się niecierpliwiła.

– Prędko, dziewczyno, prędko! – zawołała w końcu i Marysia zdecydowała się podejść do drzwi. – Potrzebujemy pomocy! Później wszystko potoczyło się błyskawicznie i Marysia sama nie wiedziała, nie umiała wyjaśnić, jak to się stało, że nagle znalazła się na sali pełnej chorych i rannych, z bandażami w rękę i tamponami do przemywania ran. Kobiety w fartuchach biegały między posłaniami, nachylały się nad jęczącymi, głaskały po głowach, okrywały, podawały wodę i leki. Skąd wiedziała, co robić? Chyba ta pani, która ją zawołała, coś jej szybko wyjaśniała, wciskając w ręce gazę i bandaż, ale zaraz przywołał ją jakiś szczupły mężczyzna w lekarskim kitlu poplamionym śladami krwi i Marysia została sama pośród wielkiej sali. Chorzy leżeli wszędzie. Szczęśliwcy na łóżkach, a ci, którym się mniej poszczęściło, na podłodze, na kocach i siennikach. Nie czuła lęku. Przytłaczał ją ogrom cierpienia, którego była świadkiem i częścią. Coś ją tak mocno, przeraźliwie mocno ścisnęło za serce. Chciałaby im wszystkim pomóc, ukoić, ulżyć, uspokoić, dodać otuchy. Uratować. Nachylała się nad młodymi chłopakami z ranami postrzałowymi i myślała o swoich starszych braciach, Felku i Fryderyku, którzy gdzieś tam, w Warszawie... Minęło już kilka tygodni Marysinej pracy w szpitalu, a jej wydawało się, jakby nigdy nie robiła nic innego niż tylko bandażowanie i oczyszczanie ran. Najokropniejsze były stare, brudne, gnijące rany z robakami w środku. Trzeba było najpierw wyciągać pęsetą te robaki. Marysia wzdrygnęła się, przywołując w pamięci obraz żołnierza, któremu rano czyściła taką właśnie ranę. Wiedziała, że jutro już go pewnie nie będzie.

koniec części pierwszej

PATRYCJA CICHA

Nieść Orędzie Bożego Miłosierdzia

– *O Faustyno, jakże przedziwna była twoja droga! Czyż można nie pomyśleć, że to ciebie właśnie – ubogą i prostą córkę mazowieckiego polskiego ludu – wybrał Chrystus, aby przypomnieć ludziom wielką Bożą tajemnicę Miłosierdzia. Tę tajemnicę zabrałaś ze sobą, odchodząc z tego świata po krótkim i pełnym cierpień życiu. Równocześnie tajemnica ta stała się proroczym zaiste wołaniem do świata, do Europy. – mówił podczas uroczystości beatyfikacji S. Faustyny Kowalskiej Ojciec Święty Jan Paweł II.*

Papież podkreślał wówczas, że *misja s. Faustyny trwa i przynosi zadziwiające owoce. W jakże przedziwny sposób jej nabożeństwo do Jezusa Miłosiernego toruje sobie drogę w świecie i zdobywa tyle ludzkich serc! Jest to niewątpliwie jakiś znak czasów – znak naszego XX w. Bilans tego kończącego się wieku, obok osiągnięć, które wielokrotnie przewyższyły poprzednie epoki, zawiera także głęboki niepokój o przyszłość. Gdzie więc, jeśli nie w Bożym Miłosierdziu, znajdzie świat ocalenie i światło nadziei? Ludzie wierzący doskonale to wyczuwają! Dziś te słowa są niezmiennie aktualne. A Bożego Miłosierdzia światu potrzeba jakby jeszcze bardziej.*

W Łodzi znamy historię Helenki Kowalskiej, bo tu właśnie ujawniło się jej powołanie, tu ukazał się jej Pan Jezus, z żądaniem wypełnienia powołania.

Wchodzimy w rok rocznic związanych ze św. Faustyną: w sierpniu wypadnie 115 rocz-

nica jej urodzin, a w kwietniu minie 20 lat od kanonizacji Siostry Faustyny. Od 15 lat jest też św. Faustyna patronką Łodzi.

Rocznice przypominają nam o ludziach i wydarzeniach, ale dużo ważniejsza jest systematyczne niesienie Orędzia o Bożym Miłosierdziu i łaskach doświadczanych od Jezusa Miłosiernego. Od 2016 r. do końca 2019 r. w archidiecezji łódzkiej odbywały się Misje Miłosierdzia Bożego połączone z peregrinacją obrazu Jezusa Miłosiernego i relikwii św. Faustyny. Był to dla wielu dobry moment do umocnienia i pogłębienia wiary, a może nawrócenia.

Liczne inicjatywy związane z Bożym Miłosierdziem odbywają się w parafii pw. Św. Faustyny Kowalskiej w Łodzi. Od wielu lat ulicami miasta przechodzi w święto św. Faustyny (5 października) procesja z relikwiami Świętej. W ubiegłym roku po raz czternasty odbył się w Parku Wenecja, w którym Pan Je-

zus objawił się Helence Kowalskiej, Festyn Miłosierdzia. W październiku 2018 r. odbył się Łódzki Kongres Świętej Faustyny pod hasłem „Z niej wyjdzie iskra...”, którego organizatorem był ks. prałat Wiesław Potakowski, proboszcz parafii pw. Faustyny Kowalskiej. W Kongresie uczestniczyli hierarchowie Kościoła, księża i osoby konsekrowane – znamienici znawcy problematyki Miłosierdzia Bożego oraz osoby świeckie.

Jednym z owoców Kongresu są comiesięczne spotkania, które odbywają się w parafii pw. Faustyny Kowalskiej. – *Jako owoc I Łódzkiego Kongresu Świętej Faustyny każdą czwartą niedzielą miesiąca będziemy w parafii przeżywać jako: „Niedzielę z Apostołem Miłosierdzia”* – mówi ks. Potakowski. – *pierwsze takie spotkanie odbyło się w lutym 2019 r. ks. dr Marek Chrzanowski, poeta, rekolekjonista ze Zgromadzenia Księża Orionistów, odpowiedzialny za Instytut Życia Konsekrowanego dla Dziewcząt i Kobiet.*

W marcu parafia gościła S. Michaelę Rak ze Zgromadzenia Sióstr Jezusa Miłosiernego, która założyła i kieruje hospicjum im. bł. ks. Michała Sopoćki w Wilnie. W kolejnych miesiącach gośćmi ks. Potakowskiego byli m.in.: siostra Rita Gvazdaityte z Wilna, ze Zgromadzenia Sióstr od Aniołów, ks. Juliusz Lasoń, od ponad 20 lat kapelan w Szpitalu im. Koper-



nika w Łodzi i w Domu Pomocy Społecznej Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP NP im. bł. Edmunda Bojanowskiego w Łodzi, O. Zdzisław Duma (OGMCap), Gwardian Klasztoru w Gdańsku, ks. Adam Jabłoński, Krajowy Duszpasterz Więziennictwa, ks. Andrzej Partyka, dyrektor Caritas Archidiecezji Łódzkiej.

Podczas styczniowej „Niedzieli z Apostołem Miłosierdzia” (26 stycznia) na mszach świętych swoim świadectwem podzieli się Siostra Sara Jabłońska ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w Łodzi.

IWONA KLIMCZAK

Człowiek, który urządził Zakopane

Hrabia Władysław Zamoyski (1853-1924) – człowiek, który urządził Zakopane – taki winien być napis na pomniku urodzonego w Paryżu właściciela dóbr w Wielkopolsce i Zakopanem, przyjaciela świętego Brata Alberta. Przyjaźń tę pięknie ujął Janusz Kotarbiński wykonując polichromię do zakopiańskiego kościoła św. Rodziny. Przedstawia ona hrabiego, który trzyma w ręku akt przekazania swoich dóbr narodowi polskiemu, obok Zamoyskiego klęczy święty brat Albert (Adam Chmielowski), obu wita w niebie święty Franciszek z Asyżu.

Zamoyski zachwycał polską inteligencję przebywającą pod Giewontem, zwłaszcza artystów. Stanisław Witkiewicz w liście do matki z 10 kwietnia 1890 r. pisał z podziwem i ze zdziwieniem o nim i jego bliskich: *Poznałem tych hrabiów! Rzeczywiście coś niepojętego skąd się tacy wzięli. Polaków tak polskich rzadko można widzieć.* Ulica jego imienia ostała się nawet w PRL-u, bo próba zmiany nazwy wywołała powszechne zgorszenie (u ówczesnych władz Zakopanego interweniowała wybitna znawczyni tatrzańskiej flory dr Zofia-Radwańska-Paryska).

Władysław Zamoyski konsekwentnie od młodych lat pracował dla ojczyzny, dosłownie ciulając grosz do grosza. Narażał się na kpiny, niewybredne żarty, a nawet oszczerstwa i przede wszystkim niezrozumienie. W ostatnich czasach wymownym symbolem tego niezrozumienia była już sama idea postawienia mu pomnika. Są bowiem ludzie, jak np. królowa Jadwiga, którym nie stawia się pomników, bo największy, i to żywy, oni sami już sobie postawili; w przypadku świętej jest to Uniwersytet Jagielloński, w przypadku hrabiego po prostu Morskie Oko w granicach Polski... Sam hrabia Zamoyski był bardzo sceptyczny wobec pomnikowej formy upamiętniania zasług. Pod koniec XIX w. odmówił udzielenia poparcia inicjatorom budowy pomnika Mickiewicza w Zakopanem, a w 1900 r. komitetowi pom-

nika Tytusa Chałubińskiego. Pierwszym przekazał kilkadziesiąt egzemplarzy „Pana Tadeusza” z prośbą rozdania mieszkańcom Podhala.

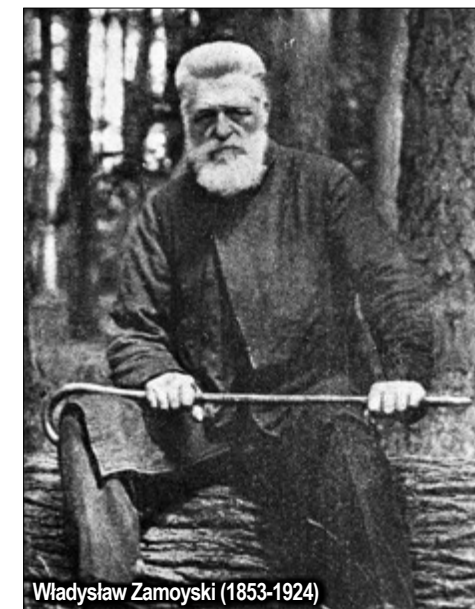
Pomnik Zamoyskiego dłuta zakopiańskiego rzeźbiarza Michała Gąsienicy-Szostaka stoi przy skrzyżowaniu Krupówek i al. 3 Maja. Należy go odbierać jako znak sprzeciwu, swoiste memento. Jest to kolejne po Lesie Chałubińskiego miejsce w stolicy konsumpcji wskazujące na to, iż są rzeczy od niej ważniejsze. Pomnik dobrze oddaje wyobcowanie hrabiego. Zaskakuje tak, jak on zaskakiwał. Elegancki, smukły, po miejsku ubrany pan stanowi kontrast z barwną i gwarną ulicą.

Lista zasług Zamoyskiego dla Zakopanego, w którym przebywał od 1889 r. jest jeszcze dłuższa i bardziej imponująca niż Chałubińskiego, co zresztą zrozumiałe, bowiem możliwości finansowe były nieporównywalne. Właściwie zamiast wymieniać, co, gdzie, kiedy i za ile wybudował, doprowadził, zainicjował, stworzył, urządził, uratował, wystarczałoby napisać, że urządził miasto Zakopane, a na pewno nie minęlibyśmy się z prawdą. Od kąd w 1889 r. kupił na licytacji tereny w Tatrach i na Podhalu, włączał się niemal w każdą sprawę zakopiańską, pomagał instytucjom, stowarzyszeniom, wspierał inicjatywy kulturalne, naukowe, społeczne, zwłaszcza inicjowane przez Towarzystwo Tatrzańskie i jego liderów. Zawsze kierował się maksymami:

Służyć Bogu, służyć Ojczyźnie, służyć Ojczyźnie, służyć Bogu. – Nasze życie, nasze trudy (...) – za nas i po nas – dla Polski.

I tak: wspomógł budowę kościoła św. Rodziny, ukończoną w 1896 r., w 1899 r. doprowadził do uruchomienia linii kolejowej Chabówka – Zakopane, w 1902 r. przyczynił się znacznie do wygrania sporu o Morskie Oko z Węgrami. Założył gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, nie tylko pomagał mu finansowo, ale sam prowadził w nim zajęcia z szermierki. W Kuźnicach wybudował wodociąg i elektrownię wodną. Angażował swój kapitał w budowę dróg i regulację potoków. Wzniósł szkoły w Bukowinie i na Olczy. Wspierał Szkołę Przemysłu Drzewnego. Wspomagał Muzeum Tatrzańskie. Z jego inicjatywy powstała Chrześcijańska Spółka Handlowa, której priorytetem była sprzedaż i promocja towarów polskich. Dla niej to wniósł przy ul. Krupówki Bazar Polski (dzisiejszy budynek, gdzie mieszczą się delikatesy i galeria). W 1904 r. pod jego patronatem powołano Towarzystwo Pomocy Przemysłowej. Zaangażował się w budowę toru bobslejowego. Przyczynił się do budowy budynku straży pożarnej. W jednym ze swoich domów ulokował Bibliotekę Publiczną. Towarzystwu „Sztuka Podhalańska” przekazał salę wystawową.

Powyższy rejestr jest niepełny. Dodać należy, że również matka hrabiego, Jadwiga z Działyńskich, jak i jego siostra Maria angażowały się w sprawy społeczne. Panie prowadziły w Kuźnicach Szkołę Pracy Domowej Kobiet. Założona w Kórniku pod Poznaniem w 1882 roku, przeniesiona została do Zakopanego. Kształciły się w niej zarówno szlachcianki, jak i córki mieszczan, nie brakowało też przedstawicieli ludu. Oprócz zarządzania gospodarstwem i praktycznych umiejętności,



jak szycie, gotowanie, uprawa ogrodu czy hodowla zwierząt domowych dziewczęta uczyły się historii, geografii i literatury polskiej.

Należy podkreślić, iż w latach 1889-1924 hrabia był największym pracodawcą w Zakopanem, dawał zatrudnienie nie tylko we dworze czy tatrzańskich lasach, które zdewastowane przez poprzednich właścicieli uratował od zupełnego wyniszczenia, ograniczając wyręby i prowadząc niezwykle intensywne oraz konsekwentne zalesianie, ale pośrednio we wszystkich instytucjach i obiektach których budowę finansował lub które wspomagał. Uważano go za męża opatrznościowego dla Podhala i Tatr. Dlatego to już w 1901 r. razem ze Stanisławem Witkiewiczem otrzymał pierwsze honorowe obywatelstwo Zakopanego. Był działaczem i członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, którego delegacja już 22 maja 1889 r. złożyła mu serdeczne podziękowanie za nabycie dóbr zakopiańsko-tatrzańskich wierząc głęboko, iż nowy właściciel nabył lasy górskie nie dla zysku, ale ocalenia.

ANTONINA SEBESTA

Pseudo balet w filharmonii

Filharmonia Łódzka im. Artura Rubinsteina zaprosiła niedawno na przygotowany wspólnie z Akademią Muzyczną im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów w Łodzi oraz Musikhochschule Lubeck spektakl pt. „Znaki czasu 2019”.

Spektakl pomyślany został – jak poinformowano z estrady – jako „synteza sztuk” nawiązująca do obecnych w dziewiętnastowiecznej Łodzi kultur: polskiej, niemieckiej, żydowskiej i rosyjskiej. Półtoragodzinną, trwającą bez przerwy, prezentacją obejmowała muzykę organową, taniec, kilka ekspresyjnych recytacji poetyckich w wykonaniu siedzącej w głębi na krzeselku Julitty Sękiewicz (od razu uwaga: wobec permanentnego półmroku można było sądzić, że te nagłaśniane mikrofonowo recytacje, m.in. wiersza Tuwima, są demonstrowane z nagrania). Było też kilka krótkich i nieczytelnych projekcji na ścianie – miało to być filmowy składnik wieczoru o dość niejasnym zresztą przesłaniu.

Muzyka w solidnie, należy to przyznać, przygotowanej interpretacji killkorga anonimowych studentów z wymienionych wcześniej uczelni rozbrzmiewała jako montaż bezpośrednio następujących po sobie i okraszonych elementami improwizacji utworów m.in. Danksagmüllera, Drischnera, Pendereckiego. Wykorzystane zostały nie tylko „stacjonarne” organy filharmoniczne, ale też, dodatkowo, instrumenty elektroniczne. Koncepcja całości sprawiła wszelako, że warstwa dźwiękowa stała się w głównej mierze podkładem dla

tańca, który realizowało niespełna dziesięcioro studentów (też anonimowych – głównie dziewczyn, wśród nich jeden młodzieniec) łódzkiej Akademii Muzycznej z kierunku Choreografii i Technik Tańca. Właśnie, jest od niedawna w łódzkiej uczelni taki nurt kształcenia, choć... wydziałów malarstwa, reżyserii filmowej etc. jeszcze nie ma. Czy będą?

No, ale cóż to był za taniec, który tego wieczoru, w owej „syntezie sztuk” znalazł się na planie pierwszym, przez co można go było traktować jako zasadniczy element spektaklu? Składał się głównie – zgodnie z mizernym raczej zamysłem choreograficznym prof. dr hab. Elżbiety Aleksandrowicz (też z łódzkiej AM) – z jednostajnego wymachiwania rękami, skłonów, obrotów, ponadto kładzenia się na podłogę. W paru momentach tylko jedna osoba bałańczyła, pozostałe się przyglądały. Dosłownie kilka było skoków (a może raczej podskoków?), w trakcie których nóg (małe rozwarcie!) nikomu z tańczących nie udało się wyprostować – a to w „normalnym” balecie stanowi wymóg podstawowy. Całości dopełniał ciężki, słoniowaty nieomal bieg. Wszystko było trochę żałosne, niemające wiele wspólnego z zawodowym baletem. Pytanie podstawowe, które skierować wypadałoby do



dyrektora filharmonii, Tomasza Bębna, brzmi zatem: po co taka – nazwę to bez ogródek – amatorszczyzna pokazywana jest w prestiżowej placówce artystycznej, gdzie warunkiem wstępu było notabene wykupienie wcale nie taniego biletu? Nie będę tu rozwijał szerszego tematu – do czego i komu jest potrzebne kształcenie pseudo tancerzy w uczelni spod znaku Polihymnii. Bo historia dowodzi, że wybitni choreografowie rekrutowali się z zasady z zawodowych kręgów związanych z Terpsychorą, byli tancerzami z dużym dorobkiem. Jeżeli uczelnia uważa, że to kształcenie ma jakiś sens, niech sobie robi szkolne, wewnętrzne „popisy”, na których swoimi „osiągnięciami” szczyścić się będą przed współpra-

cownikami profesorowie posiadający tytuły naukowe, lecz niemający ukończonych szkół baletowych i praktyki artystycznej w tej dziedzinie (co najwyżej praktykę w zakresie tzw. rytmiki), a występować będą nielegitymujący się niezbędną techniką, kiepsko panujący nad ciałem „tancerze” (notabene tak, jak jest to już od lat z kreującymi się na tancerki studentkami sekcji rytmiki AM w Łodzi). Bo na balet w wydaniu profesjonalnym, w mieście, w którym od półwiecza organizowany jest jeden z najważniejszych w Polsce festiwali baletowych, łódzka publiczność ma gdzie chodzić.

JANUSZ JANYST

Bazylika św. Pawła za Murami

Bazylika św. Pawła za Murami – druga co do wielkości w Rzymie powstała za czasów Konstantyna Wielkiego. Rozbudowana przez Walentyniana (386 r.) i Teodozjusza, stała się w tym samym czasie największym kościołem chrześcijaństwa, potężną, pięcionawową bazyliką, upiększaną i uzupełnianą przez wielu papieży.

W 1823 r. pożar strawił ją prawie całkowicie. Odbudowę, wielkim nakładem kosztów, przeprowadzono nieudolnie w 1857 r. Przepadły najcenniejsze, uratowane w czasie pożaru freski Cavalliniego. Na miejscu starej romańskogotyckiej wieży, dodano najbardziej niefortuną kampanilę oraz przed elewacją frontową (1892 r.) czworokątny portyk kolumnowy z ogromną statwą św. Pawła. Pięcionawowe wnętrze dzieli 80 granitowych kolumn. Rzeźby, malarstwo i ornamentyka bliższe późnemu neoklasycyzmowi, zmuszają do poszukiwania jakiegoś prawdziwego reliktu przeszłości. Nad nawą środkową w łuku triumfalnym, wielka mozaika przedstawiająca Chrystusa Pantokratora przypisywana fundacji Galli Placydii, jest oryginałem z V w. (restaurowanym i uzupełnionym) o cechach wyraźnie bizantyjskich. Po drugiej stronie łuku znajdują się resztki mozaiki z dawnej fasady Cavalliniego. Za ołtarzem zachowało się cyborium Arnolfa di Cambio z 1285 r., a w absydzie mozaika z czasów Honoriusza III (1220 r.) w wyrazie bizantyzującym stylu oraz dalsze fragmenty mozaik z fasady Cavalliniego. Po prawej stronie cyborium w transepcie duży paschał z XII w. jest wspaniałym przykładem rzeźby tego okresu średniowiecza. Składa się z zawilej kompozycji zwierząt, roślin i ludzi (sceny z Pasji Chrystusa), a wieńczą go chmury i potwory.

Również z prawej strony transeptu, po przejściu Sali Martyrologii (pierwsza po prawej stronie) i następnych, wyjdziemy do krużganka Cosmatów z XII i XIII w., jeszcze piękniejszego niż laterański, ze zbiorem relikwii pogańskich i wczesnochrześcijańskich sarkofagów i płaskorzeźb, pozostałości po starej bazylice.

Posłannictwo świętej Brygidy

Święta Brygida urodziła się około 1302 r. w Szwecji. Pochodziła z roku książęcego. Wkrótce po przyjściu na świat straciła matkę. Została oddana na wychowanie do życzliwych ciotek. Przez pierwsze trzy lata nie potrafiła wymówić ani jednego słowa. Ale już wtedy przejawiała uderzającą pobożność. Jej pobożność nabrała jeszcze większej wyrazistości, gdy odzyskała zdolność mówienia. Poświęcała wtedy dużo czasu kontaktowi z Bogiem. Jako dziesięcioletnia dziewczynka, słuchając kazania o Męce Chrystusowej, doznała szczególnego oświecenia. Podczas snu zdawało jej się, że widzi Boskiego Zbawcę, który przemówił: „Robię wyrzut tym, którzy mną pogardzają i są nieczuli na moją miłość”. Ten sen wywołał w Brygidzie ogromne wrażenie i utrwalił się w świadomości. Jako młoda panienka została poślubiona Ulfowi Gudmarssonowi. Powiła mu ośmioro dzieci, w tym swą duchową spadkobierczynię św. Katarzynę, zwaną Szwedzką.



Ci, którzy zwiedzają Bazylikę św. Pawła za Murami w Rzymie, mogą zobaczyć krucyfik wielkości naturalnej – dzieło rzeźbiarza Piotra Cavalliniego, przed którym klęczała św. Brygida. Tutaj Pan Jezus przeprowadził cudowną rozmowę z Brygidą, która pragnęła wiedzieć, ile ciosów Chrystus Pan otrzymał podczas swej męki.

Pewnego dnia Zbawiciel objawił się jej i rzekł: „Moje ciało otrzymało 5480 ciosów. Jeżeli chcesz je uczcić pobożną praktyką, zmów 15 Ojcze Nasz i 15 Zdrowaś Maryjo z modlitwami, których Cię nauczyłłem podczas całego roku. W ten sposób w ciągu roku uczysz każdą moją ranę.”

Podróżowałam do Szwecji przez 30 lat. Przez 30 lat odmawiałam modlitwy, które

usłyszała Brygida z ust Zbawiciela w Rzymie u św. Pawła za Murami. W Szwecji powstało wiele moich obrazów. Za każdym pobylem powstawał nowy cykl obrazów. Były to obrazy z życia Matki Bożej i Chrystusa. Portrety świętych, kopie wielkich mistrzów (Marca Chagala, Salvadora Dali). Malowałam „Ostatnią Wieczerzę” z wielkim trudem dla o. Jacka Pleskaczyńskiego SJ w 1995 r. – jeśli dobrze pamiętam. Te wyjazdy przez Bałtyk były wielką moją przygodą i wielkim pragnieniem zobaczenia innego świata, innych ludzi. Podróżowanie było odkrywaniem Tajemnic Bożej obecności, piękna, spotkań z różnymi ludźmi.

IZABELA MARIA TRELIŃSKA

Osadnictwo na Ziemi Wileńskiej

Osadnictwo polskie na Wileńszczyźnie, to niewolnicze jako jasyr wojenny z terenów Polski i to dobrowolne, datuje się od XIII w., a może i znacznie wcześniej. Unia w Krewie, Chrzest Litwy i kolejne umowy z Polską uratowały Litwinów przed fizyczną likwidacją ze strony Zakonów lub całkowitym zruszczeniem.

Te groźby były realne już w końcu XIV w. Jednocześnie atrakcyjność swobód ustrojowych i demokracji szlacheckiej w Polsce, polska nauka, kultura, tolerancja, nowoczesna gospodarka oraz religia katolicka, te czynniki wprowadzały Litwę w orbitę cywilizacji łacińskiej. To one powodowały, że ogromne rzesze szlachty litewskiej, a pośrednio i chłopstwa, polonizowało się dosyć szybko.

Procesy te przyspieszone zostały przez utworzenie w Wilnie w końcu XVI w. przez Stefana Batorego Uniwersytetu. Ocenia się, że w końcu XVIII w. ludności przynależącej się do polskości na Litwie było 25%, a w liczbach bezwzględnych Polacy stanowili ok. 1 miliona wszystkich mieszkańców WXL.

W XIX w. procesy asymilacyjne polsko-litewskie postępowały dalej, m.in. poprzez zawieranie małżeństw mieszanych. Litewskość pozostawała głównie na Żmudzi. Natomiast różnice polsko-litewskie zacierały się, choć podział, i to niezbyt wyraźny, przebiegał między przeważnie polskim dworem szlacheckim, a wsią, zwykle litewską. Niektóre zaścianki były bardzo ubogie i pod względem zamożności często ustępowały chłopskiemu gospodarstwu, ale górowały nad nimi kulturą i stanowiły ostoję walki z rosyjskim zaborcą jako ośrodki myśli patriotycznej. Jednocześnie szerzyły oświatę wśród ludności wiejskiej i służyły pomocą chłopom w kłopotach życia codziennego.

Określanie się, czy jest się Polakiem czy Litwinem stawało się coraz trudniejsze. Z czasem oba pojęcia zaczynały nabierać znaczenia wymiennego i oznaczały raczej przynależność do miejsca zamieszkania, a więc element geograficzny, a nie etniczny. Bardzo wyraźnie zaznaczyło się to w czasie w powstania styczniowego. Krwawe represje rosyjskie w równym stopniu dotyczyły Polaków, jak i Litwinów.

To zbratanie dwóch narodów dostrzegła zarówno Rosja, jak i Niemcy i wszelkimi dostępnymi metodami doprowadzano do zaostрения konfliktów stosując zasadę *divida et impera*. Podgrzewano konflikt między dworami przeważnie polskimi a zwykle litewskimi mieszkańcami wsi. Nietrudno przecież wzbudzić wśród ludzi tak niski instynkt, jak zawiść. Jedni i drudzy zaborcy podgrzewali nacjonalizm litewski. Pierwsze objawy zaostření niesnasek pojawiły się w kościołach, gdzie katolicy duchowni litewscy podsycali wrogość do polskich katolików.

Początek narodowego odrodzenia Litwy i jednocześnie podsycanie wrogości do Polski, datuje się od połowy lat 80-tych XIX w. Wiąże się ono z wydaniem „Ausry” przez Basanovicusa. Jak kształtowała się w tym czasie struktura ludnościowa na Wileńszczyźnie? Pierwsze dostępne dane statystyczne pochodzą z roku 1860, ich autorem był Stołypianski. W tym, i we wszystkich następnych spisach Rosjanie dokonywali różnych manipulacji, by zmniejszyć liczbę ludności polskiej na rzecz Rosjan, Litwinów, Białorusinów. Stąd do tych danych trzeba podchodzić z ogromną podejrzliwością. Jedynie dane dotyczące ludności żydowskiej jako grupy narodowościowej i religijnie wyróżniającej się są obiektywne.

W 1860 r. gubernię wileńską zamieszkiwało 820 tys. ludności. Wyodrębniono grupy Litwinów-katolików – 395 tys., Polaków-katolików – 155 tys., prawosławnych – 145 tys. i Żydów – 45 tys. Dane dotyczące samego Wilna pochodzą z 1869 r. Miasto liczyło 65 tys. mieszkańców; katolików – 23 tys., prawosławnych – 8,5 tys., wyznawców religii mojżeszowej było 30 tys., podczas gdy w powiecie wileńskim Żydów mieszkało 14 tys. Jak wspomniano wyżej, pojęcie Polaka i Litwina na Ziemi Wileńskiej uległo zatarciu i tylko od spisującego zależała interpretacja. Z tego spisu nie można dowiedzieć się, ilu w Wilnie właściwie mieszkało Polaków, a ilu Litwinów?

Z tych pierwszych danych statystycznych rzuca się w oczy znaczący odsetek Żydów na

Polaków (54%), 58 tys. Żydów i 2209 Litwinów – 2,1%. W całym Ober Ost Polacy stanowili 30%, a Litwini 10% całej ludności. Pierwszy polski spis z 1919 r. wykazał, że na Wileńszczyźnie Polacy stanowili 68,4%, Żydzi 11,5%, a Litwini 7,2%.

Przyszły trudne i heroiczne lata wojny polsko-sowieckiej. 12 lipca 1920 r. Rosja Sowiecka w czasie chwilowych zwycięstw nad Polską zawarła traktat z Litwą. Kowno ogłosiło swoją neutralność w tej wojnie w zamian za iluzoryczne poszerzenie swojego terytorium po Grodno, Lidę i oczywiście Wilno. Litwini ani myśleli pozostać neutralnymi i zdradziecko atakowali wraz z bolszewikami polskie oddziały, a Armii Czerwonej pozwalali na przemarsze po swoich ziemiach.

Po klęsce bolszewickiej w bitwie warszawskiej i niemeńskiej, pod naciskiem państw Ententy Polska została zmuszona do podpisania tzw. umowy suwalskiej, która w rzeczywistości była swego rodzaju zawieszeniem broni i wyznaczeniem linii demarkacyjnej rozdzie-



Wileńszczyźnie, stających się z upływem lat coraz liczniejszą grupą narodowościową. Żydzi na Litwie pojawili się w II połowie XIV wieku. Pochodzili z Hiszpanii, Francji, Niemiec, Czech i ze Wschodu, gdzie byli prześladowani i wygnani. Część osiedlała się w Polsce, a inni nad Wilią i Niemnem.

Znaczący wzrost ludności żydowskiej w guberni wileńskiej zaznaczył się w ostatniej dekadzie XIX w. Przyczyna tkwiła w ucieczce przed pogromami w Rosji. W 1890 r. mieszkało w Wilnie 50 tys. Żydów, w 1894 r. – 58 tys., a w trzy lata później na 140 tys. mieszkańców wyznawców religii mojżeszowej dołączono się 76 tys. W tym samym okresie w guberni wileńskiej liczba Żydów zwiększyła się ze 125 tys. do 205 tys., co stanowiło 13% mieszkańców. O Wilnie Żydzi mówili jako o Jerozolimie Północy, tutaj znajdowały się główne ośrodki myśli religijnej i politycznej, rodziły się koncepcje Judeo-Polonii.

Kolejny spis ludności w guberni wileńskiej dokonany przez Rosjan w 1909 r. wykazał, że mieszkało tu 26,4% Polaków, a Litwinów 13%, w samym Wilnie na 205 tys. mieszkańców było Polaków 110 tys., czyli 53%, a Litwinów zamieszkiwało poniżej 3%.

Struktura mieszkańców tej ziemi niewiele różniła się w 1916 r., kiedy to kolejny okupant niemiecki dokonał spisu ludności. Dane te wykazywały, że w Wilnie mieszkało 75 tys.

lajającej Polaków i Litwinów, nie przesądzała ona przynależności Wilna do żadnej strony. Tzw. bunt Żeligowskiego nie był więc złamaniem tego układu. Obowiązywać on miał bowiem od 10 października 1920 r., a odbicie Wilna nastąpiło 9 października od strony Lidy i omijał ową linię demarkacyjną.

Powstał nowy organizm państwowy Litwa Środkowa. Nie skończyły się jednak zatargi, a nawet starcia zbrojne polsko-litewskie. O jakimś porozumieniu nie mogło być mowy, bo punktem najbardziej spornym była sprawa przynależności Wilna, którego większość mieszkańców to Polacy.

Już 8 stycznia 1922 r. na Litwie Środkowej doszło do demokratycznych, pięcioprzymiotnikowych wyborów. Uprawnionych do głosowania było 735 tys. osób, Polacy stanowili 68,4%, 11,5% Żydzi, 8,8% Białorusini, 7,2% Litwini, reszta to Tatarzy, Karaimi i inni.

Litwini nawoływali do bojkotu. Społeczność żydowska ustosunkowywała się w sposób zróżnicowany, w zależności od poglądów politycznych. Mimo takiej sytuacji w wyborach wzięło udział 64,4% uprawnionych, nawet zapowiadających bojkot głosowało przeszło 8% Litwinów. Bojkot wyborów skończył się więc całkowitym fiaskiem. Został wybrany Sejm Wileński, który 20 lutego 1922 r. podjął uchwałę o wcieleniu Ziemi Wileńskiej do Polski. Sejm Ustawodawczy RP 24 marca

zatwierdził akt inkorporacyjny Wileńszczyzny z Polską. 5 lutego 1923 r. Rada Ligi Narodów zatwierdziła podział pasa linii demarkacyjnej między Polską a Litwą jako granicę między obydwojema państwami. Podkreślić tu należy, że w art. 87 traktatu wersalskiego z 1919 r., na który często powołują się Litwini, była mowa tylko o tym, że granica polsko-litewska będzie ustalona w terminie późniejszym. 18 marca 1921 r. został podpisany traktat ryski regulujący stosunki między Polską a Związkiem Radzieckim i wytyczający granicę między obu państwami. Obszar państwa polskiego został ukształtowany na kilkanaście lat. Potwierdzeniem polskości Wileńszczyzny był spis ludności z 1931 r. Dane dotyczą ówczesnego podziału administracyjnego.

Województwo wileńskie. Ogółem na tym terenie mieszkało 1.276 tys. ludzi. Polacy to 761,7, Ukraińcy 0,4 tys., Rusini 1,2 tys., Białorusini 289,7 tys., Rosjanie 43,3 tys., Niemcy 1,3 tys., Żydzi 108,9 tys., Litwini 69,5 tys.

Mieszkańcy Wilna. W 1931 r. ludność liczyła 195 tys., by w 1937 r. liczyć 208 tys. Polaków w Wilnie w 1931 r. mieszkało 128,6 tys., Ukraińców 0,1 tys., Rusinów 0,1 tys., Białorusinów 1,7 tys. Rosjan 7,4 tys., Niemców 0,6 tys. Żydów 54,6 tys. Litwinów 1,4 tys.

23 sierpnia 1939 r. został zawarty pakt między Związkiem Radzieckim a III Rzeszą z korektą z 28 września tego roku. Był to formalnie IV rozbiór Polski. Wileńszczyzna przypadła Związkowi Sowieckiemu.

Na konferencji w Jałcie Wielka Brytania i USA formalnie zatwierdziły zdobycze terytorialne Związku Radzieckiego wynikające z układu Stalin-Hitler z 1939 r. Zachód jeszcze raz potwierdził swój obojętny stosunek do polskich spraw.

Od września 1939 r. sytuacja demograficzna Wileńszczyzny dynamicznie zmieniała się i była bardzo płynna. Żydzi zostali wymordowani w Ponarach przez Litwinów kolaborujących z niemieckim okupantem. Polacy poddawani byli eksterminacji przez okupantów niemieckich i sowieckich. Tysiące z naszych rodaków znalazło się w łagrach, na zesłaniu w Syberii i w Kazachstanie. Setki ginęło w oddziałach partyzanckich walczących o wolną Polskę. Od 1945 r., w ramach ekspatriacji, sto kilkadziesiąt tysięcy Polaków zostało wyrzucanych do Polski Lubelskiej. Do Wilna przenosiło się tysiące mieszkańców Litwy Kowieńskiej. Od zakończenia wojny Wileńszczyzna stała się częścią Związku Sowieckiego jako Litewska Socjalistyczna Republika Radziecka, co powodowało najazd do miasta nad Wilią tysiące Rosjan.

Tak więc Wileńszczyzna została dotknięta współczesną wędrówką ludów, która całkowicie zmieniła demografię tej części II Rzeczypospolitej. Mimo tych wielkich przeobrażeń ludnościowych ćwierć miliona Polaków dalej mieszka na ziemi praojców, obecnie w Republice Litewskiej.

Przed 1939 r. na tym terenie zamieszkiwał jeden milion Polaków! Obecnie prawie 20% mieszkańców Wilna to nasi rodacy, w rejonie Solecznik stanowią oni 80% również dominują na pozostałych terenach tej ziemi.

Dzisiaj Wileńszczyzna jest częścią Republiki Litewskiej. Ta sytuacja została ukształtowana w Jałcie, gdzie Roosevelt i Churchill poddali się presji Stalina i potwierdzili zdobycze Rosji Sowieckiej w pakcie Ribentropp-Mołotow. Po rozpadzie Związku Sowieckiego powstała w 1991 r. Republika Litewska. Tak więc Litwini otrzymali Wileńszczyznę jako „spadek” po ZSRR. Litwa włączając Ziemię Wileńską stała się jakby współnikiem Niemiec i Rosji w IV rozbiórce II RP.

Łódzkie pociągi pod specjalnym nadzorem

By pełnić nadzór nad pociągami, trzeba nimi podróżować, a to ostatnio zdarza mi się rzadko, więc celowo wybrałem się na przejażdżkę łódzkimi pociągami po południowym półokręgu, czyli po kolei obwodowej. Do tego wyczynu skłoniły mnie ogłoszenia kolejarzy i internetowych fanów łódzkiej kolei o przywróceniu ruchu pasażerskiego z Widzewa do Chojen przez Olechów.

Czytając je „rozrzewniłem się z sentymentu”. Ostatni raz trasę taką pokonałem prawie 40 lat temu. By sierpień roku 1980. Panowie Słowik i Trautman zafundowali nam łódzianom kilka dni pieszego pasażera, robiąc strajk. Ja polityką wtedy jeszcze nie interesowałem się, lecz zły byłem, że na koniec wakacji do centrum nie ma czym dojechać. No i zbliżały się derby Łodzi, a te rozgrywane były na starym, 40-tysięcznym stadionie ŁKS-u. Czym tam dojechać? W sukurs kibicom przyszedł PKP, uruchamiając specjalne pociągi z Fabrycznego na Kaliski. Jechało się ze trzy kwadranse przez Widzew, Olechów i Chojny, by zobaczyć m.in. pięciu reprezentantów Polski i innych znakomitych piłkarzy Widzewa i próbujących im dorównać elkaesiaków.

Lecz teraz, po 40 latach, wybrałem się w tę podróż wokół (pół) Łodzi w innym celu. Raczej turystyczno-poznawczym, chcąc zobaczyć, jak te pociągi kursują. Już wcześniej poznałem, że obsługa kolejek ŁKA jest miła i uprzejma niczym w Orient Expressie, a wnętrza wagonów czyste i wygodne, więc nie ma o czym pisać. Teraz chciałem skoncentrować się na tym, czy rzeczywiście istniała potrzeba uruchomienia na trasie Widzew-Chojny przez Olechów pociągów ŁKA oraz Interregio?

Sam argument, że pociągu pasażerskiego nie widziano na Olechowie już 20 lat to chyba za mało. Owszem, linia jest historyczna, bo uświęcona męczeństwem sta-

rozakonnych z Litzmanstadt Ghetto, ale to jeszcze nie argument, by współcześnie organizować do tego miejsca przewozy pasażerskie. Pozostałością historyczną po tamtym czasie jest wyniosły budynek, ponoć w częściowej ruinie, oraz wieża ciśnień, obiekty widoczne z przystanku Olechów Wschód, położone pośród kilkunastu torów stacji towarowej. Po przeciwnej stronie torów mizerna laska Feliksina. W pobliżu wspomnianego przystanku pętla autobusowa, jednakże autobus nie jest skomunikowany z pociągami. Widzę, że

rusza jednocześnie z przyjazdem pociągu. Na następny trzeba by czekać 40 minut. Drobną korektą rozkładu jazdy i trasy linii 91 i Wiśniowa Góra przybliżyłaby się do Łodzi. Już w kwadrans, zamiast w godzinę, tamtejsi mieszkańcy mogliby dojechać do centrum Łodzi. Natomiast do łódzkiego osiedla Olechów odległość spora, a poza tym barykadą nie do pokonania jest kilkadziesiąt torów stacji towarowej. Kolejny przystanek to Olechów Zachód z laskami po południowej stronie i składem odpadów drewna tartaczego po drugiej. Nie uświadczysz tu pasażera, chyba że jakiegoś grzybiarza w porze letnio-jesiennej. Nie widzę sensu, by tu zatrzymywać pociągi. Na peronie żywego ducha i brak perspektyw, by się tam jakiś pojawił. Nieco większe szanse są na przystanku Olechów Wiadukt, położonym przy

ul. Tomaszowskiej, ale do tego potrzebne jest dogodne dojście z tej ulicy na perony.

To tyle z istniejących przystanków. Nie zauważyłem natomiast dwóch, które funkcjonowały 40 lat temu: Łódź Widzew-Janów, położony w pobliżu przejazdu z ul. Transmisyną oraz przystanek Łódź Andrzejów Szosa położony pomiędzy ul. Gajcego a /szosą/ Rokicińską. Likwidacja tego ostatniego świadczy dobitnie o traktowaniu przez kolejnictwo osiedla Andrzejów po macoszemu, o nieliczeniu się z potrzebami łódzian tam mieszkających. A przecież pasażerów to osiedle dostarczyłoby licznych. Fakt likwidacji tego przystanku przyjąłem ze zdziwieniem i rozczarowaniem. Pociągi ŁKA mkną szybko, lecz nie trudno zauważyć nie tylko likwidacji tych dwóch przystanków, lecz także konieczności wybudowania nowego przy ul. Zapolskiej. Po południowej stronie torów położone jest chojeńskie blokowisko, a po północnej Dąbrowa. Osiedla te z pewnością przysporzyłyby pasażerów korzystających ze zlokalizowanego tam przystanku.

O ile wprowadzenie pociągów ŁKA na olechowską linię kolejową jakiś cień sensu ma, lub miałoby, po drobnych korektach, to wprowadzenie na tę linię czterech pociągów Interregio w relacji Łódź Kaliska-Warszawa Wschodnia (przez Łódź Fabryczną) nie ma najmniejszego sensu. Wygenerowanie pasażerów na olechowskich przystankach trudniejsze byłoby od cudu (nad Olechówką), tym bardziej, że lokalny przejazd np. do stacji Widzew to koszt 12 zł, a nie 2,80 zł, jak pociągiem ŁKA. Jeżeli zaś komuś taka relacja, tj. z Dworca Kaliskiego do Warszawy potrzebna, to pociąg skierowałbym trasą kolei obwodowej, z Chojen do Widzewa przez Dąbrowę. Trasa to krótsza, a osiedle to gwarantuje kilkunastu pasażerów, tj. o kilkunastu więcej niż wszystkie trzy przystanki na Olechowie.



JACEK KĘDZIERSKI

Dobroczyńcy „Aspektu Polskiego”

Pani Mirosława z Łodzi • Pani Barbara z Łodzi • Pan Jerzy z Łodzi • Pani Teresa z Łodzi • Pani Stefania z Łodzi • Pan Andrzej z Łodzi • Pan Jerzy ze Zgierza • Pani Maria z Opola • Pan Bogdan z Norwegii • Pan Lech z Warszawy • Pan Waldemar z Łodzi • Pani Maria • Pani Filomena • Panie Alicja i Irena z Łodzi • Pani Zenona z B. • Pan Zygmunt z Łodzi • Pani Marianna z Łodzi • Pani Barbara z Łodzi • Pani Zofia z Łodzi.

BÓG ZAPŁAĆ!

➤Zrób kserokopię poniższego dowodu wpłaty ➤wpisz kwotę ➤podaj swoje dane ➤wpląć na pocztę lub w banku ➤albo zrób przelew przez internet

Pismo maszynowe: normalna czcionka - duża litera
Pismo odręczne: duże drukowane litery, labada w osobnej kolumnie

KATOLICKI KLUB IM. ŚW. WOJCIECHA

nr rachunku odbiorcy: **ŁÓDŹ, ul. NARUTOWICZA 120 p. 4**

nr rachunku odbiorcy: **12 203 000 45 111 000 00 03 14 49 20**

W P PLN

nr rachunku zbiorczodawcy (główny przelew) / kwota słownie (tytuł górnokolumny):

tytuł: **DAROWIZNA - DLA „ASPEKTU POLSKIEGO”**

tytuł od:

opcja: ☐ ☐ ☐

pieczęć, data i podpis(y) zbiorczodawcy

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

KATOLICKI KLUB IM. ŚW. WOJCIECHA

nr rachunku odbiorcy: **ŁÓDŹ, ul. NARUTOWICZA 120 p. 4**

nr rachunku odbiorcy: **12 203 000 45 111 000 00 03 14 49 20**

W P PLN

nr rachunku zbiorczodawcy (główny przelew) / kwota słownie (tytuł górnokolumny):

tytuł: **DAROWIZNA - DLA „ASPEKTU POLSKIEGO”**

tytuł od:

opcja: ☐ ☐ ☐

pieczęć, data i podpis(y) zbiorczodawcy

odcinek dla zbiorczodawcy